Cena 5 zł.

DZIŚ i JUTRO

KATOLICKI TYGODNIK SPOŁECZNY

ROK I WARSZAWA 16 GRUDNIA 1945 Nr. 4

Biblioteka Gdańska PAN
CIV 9013

Karol Barski

LUDZIOM WE MGLE

Istnieje w Polsce kategoria ludzi, którzy żyją we mgle. Żółtawej, gęstej i nieprzenikliwej. Mało tego, że jest mgła. Wśród mgły znajdują się ruiny, które kiedyś były domami, przybytkami ustabilizowanego życia. Dzisiaj zabrakło domów, z których się wyszło i nie ma punktów stałych, ku którym się dąży.

Tragedia ludzi zbłąkanych we mgle polega tylko na tym, że z dziwną wytrwałością oczekują cudu, któryby mgłę rozproszył i przywrócił dawne formy spokojnego życia.

Oczekiwany cud nie ma charakteru metafizycznego i mistycznego. Jest nazwany. Poprostu oczekuje się konfliktu zbrojnego między Anglosasami i Rosją, wojny, która wybuchnie jutro, za miesiąc, lub w czerwcu.

Powiedzmy inaczej. Istnieje w Polsce kategoria ludzi, którzy oczekują s k u t k ó w nowej wojny, nie pragnąc powtórzenia się jej okropności.

Ci ludzie zbłąkani we mgle robią wrażenie nie chcących wogóle zobaczyć rzeczywistości.

Aby artykuł był dobry — musi być świadomie d l a k o g o ś napisany. Ten jest dla ludzi zbłąkanych we mgle. Uciekać nie warto. Dogoni. Są bowiem prawdy, które jak rozsądek imponują nawet ludziom rozsądku pozbawionym.

Ludzie wierzący w wojnę i oczekujący wojny, opierają się na pewnych kryteriach, które dostarczają przesłanek dla takiej wiary i takiego oczekiwania. Chodzi o dowody przemawiające za wojną.

A więc: ciąży na polityce międzynarodowej niewyjaśnienie wielu problemów, obserwuje się w polityce międzynarodowej skłonności do nieustępliwego wysuwania postulatów tego typu, które usiłują przeforsować racje polityczne któregoś z Aliantów. Energia i bomba atomowa jest rzeczywistym problemem i przybiera niekiedy postać prawdziwej bomby politycznej.

To są sprawy znane, choć odległe. Istnieją bliższe. Przede wszystkim wiara w Anglosasów. Wiara ta dostarcza ludziom oczekującym wojny argumentów bliższych.

A więc: — brak radykalnego rozwiązania rządu emigracyjnego. Dywizje Maczka i Andersa. Londyński „Dziennik Polski i Dziennik Żołnierza". Kapitalne „rozliczenie" z Tymczasowym Rządem Jedności Narodowej zapasu złota Skarbu Polskiego. A przede wszystkim nastrój. Nastrój tymczasowości, nastrój... wojny.

Bo czy możliwym jest — powstaje u ludzi wierzących w wojnę pytanie — aby zatrzymanie przez Anglię złota Skarbu Polskiego, utrzymywanie Maczka i Andersa, niepełne rozwiązanie agend Rządu Emigracyjnego, pozwalanie na istnienie w Londynie polskiej propagandy radiowej i prasowej wrogiej Tymczasowemu Rządowi Jedności Narodowej, nie miało głębokiego, realnego, politycznego sensu.

Sens ten jest. Oczywiście. Jest również sens w tym, że w Londynie istnieje Ambasada Rządu Jedności Narodowej, że w Warszawie przy Prezydencie Krajowej Rady Narodowej jest akredytowany ambasador Cavendish - Bentick, że ministrowie Rządu Jedności Narodowej są oficjalnie uznani przez Anglię jako reprezentanci sprawy polskiej.

Gdzie jest prawda? Gdzie znajduje się istotny ciężar sprawy polskiej? Gdzie się rozgraniczają interesy Polski i An- [illegible] Gdzie zaczynają się jedne a kończą

słuszn[illegible]
krói[illegible]
ldztw[illegible]
praktyc[illegible]

Wiemy, co zawdzięczamy Anglii! Znamy jej wkład w walce o demokrację. Wiemy, że wolność rozwoju jednostki i wolność przekonań dla Anglika nie jest frazesem. Wierzymy, że wkład Anglii w formowanie demokracji jest istotny i przez każdego demokratę pożądany. Nie potrzebujemy się chwalić tym, że jesteśmy wierni w przyjaźni i ze wszystkich zobowiązań wywiązujemy się zwykle z nawiązką. Musimy jednak stwierdzić, że istnieją sytuacje, w których i od najlepszego przyjaciela można zażądać rachunku z postępowania.

Anglia jest wieczna. To sztandarowy slogan angielskiej polityki. I płynące z niego przekonanie: — Anglia w swym pochodzie ku wieczystemu imperium uszczęśliwia i czyni potężnymi tych, którzy są z nią.

To jest bardzo proste. Ale dla polskiej ziemi wojen, krzyżów i wieczystych strat — zbyt skomplikowane.

Nie siedzimy w tajnikach Secret Service'u i Foreign Office i nie wiemy, co Anglia w swej długodystansowej, „wieczystej" polityce zamierza. Nie wiemy, czy planuje wojnę, czy wojną straszy. Nie wiemy, co dla Anglii jest krótkim, a co długim okresem.

Wydaje się jednak w tej chwili, że jestesmy piłką w angielskim politycznym golfie. W wielkiej grze angielskiej polityki międzynarodowej uczestniczymy zbyt bezpośrednio. Sprawa polska jest używana jako jeden z elementów tej gry.

Powtarzamy raz jeszcze: mamy szczery sentyment do Anglii i jej swobód obywatelskich. Sentyment społeczeństwa polskiego przetrwał wiele gorzkich rozczarowań co do nadziei, które Anglia starała się usprawiedliwiać. Bardzo chcemy, aby sentyment ten trwał nadal. Musimy jednak powiedzieć, że jest sprawa, która może nas rozdzielić i sentyment zlikwidować.

Tą sprawą jest kwestia niemiecka. Dlaczego Anglia tak konsekwentnie nie popiera granicy na Odrze? Jasne, że nie dlatego, iż obawia się, że z nowoodzyskanymi ziemiami nie damy sobie rady. W poliyce angielskiej widać niechęć i obawę przed utraceniem sympatii przyszłych Niemiec. Jeśliby tak miało pozostać, to znaczy, że Niemcy zostały przez Anglię ocenione jako bardziej wartościowy partner w rozgrywce międzynarodowej, niż Polska. A wtedy nie trzeba fantazji, by stwierdzić, że wszyscy oczekujący na wojnę, musieliby jednocześnie oczekiwać na stukot niemieckich podkutych butów na ulicach Warszawy.

Jesteśmy krajem materialnie słabym. W takiej sytuacji trudno jest wybierać przyjaciół. Nie znaczy to jednak, by sprawą polską można było grać dowolnie, nie tracąc polskich sympatii.

O co nam chodzi w tym artykule?

Chodzi o pokój.

I ten międzynarodowy, dla którego stopnia zagrożenia nie znamy — i ten nasz własny, wewnętrzny. Aby nie było myśli nie ujętych w karby logiki.

Słowo pokój wymawia z patosem ten, kto wierzy w wojnę. My to słowo pragnęliśmy wprowadzić w polską krew... Krew ta burzy się bowiem i gotowa jest płynąć ze stale otwartych ran.

Wszelkie piękno wynika z harmonii. Aby mogło więc istnieć prawdziwe piękno polskiej ofiary krwi — musi być harmonia praw i obowiązków, celów i skuków ponoszonych ofiar.

Polskie prawo do pokoju wynika nie tylko z obliczenia poniesionych strat. Wynika również z przeświadczenia, że polski instynkt i rozsądek narodowy nie w oczekiwaniu wojny, ale w trwałym pokoju zamknąć musi swój cel.

Mgła ma tę właściwość, że łatwiej, dalej i szerzej przenosi głos. Oby jak najszybciej dotarł do wszystkich krańców świata. Oby także dotarł do wszystkich we mgle zbłąkanych.

Karol Barski

Wojciech Kętrzyński

WĘZEŁ NIEMIECKI

Wydawać by się mogło, że naród niemiecki poniósł w tej wojnie zasadniczą klęskę — że raz na zawsze unicestwione zostały jego imperialistyczne dążenia. Wydawać by się mogło, że narody zagrożone dotychczas niemieckim imperializmem, nareszcie mogą odetchnąć spokojnie.

A jednak fakty temu przeczą. Coraz to częściej spotyka się w prasie zarówno naszej jak i obcej, zarówno na wschodzie jak i na zachodzie — wzmianki o możliwościach nowej agresji niemieckiej. Ostatnio nawet rząd francuski wystąpił z szeroko zakrojonym projektem rozwiązań geopolitycznych, tyczących się Niemiec zachodnich, motywując swój krok koniecznością zabezpieczenia Francji przed groźbą nowej agresji niemieckiej.

Cóż mają oznaczać te wypowiedzi? Czy politycy europejscy ulegają jakiejś chorobliwej halucynacji, czy poprostu po sześciu latach straszliwych zmagań ciąży na nich jakiś uraz psychiczny? Czy też Niemcy posiadają w sobie jakąś siłę nieczystą, która pozwoli im wbrew całemu światu znów się odrodzić jak Feniks z popiołów?

Nie, w polityce cuda się nie dzieją, a mężowie stanu są dziś bardziej przy zdrowych zmysłach, niż kiedykolwiek dawniej.

Problem niemiecki istnieje dziś w całej rozciągłości. Wprawdzie nie istnieje dziś państwo niemieckie, w związku z czym nie potrzebujemy się obawiać jego wrogich poczynań, istnieje jednak w dalszym ciągu naród niemiecki ze swymi zdolnościami gospodarczymi, organizacyjnymi, wojskowymi, ze swym wrodzonym instynktem karności. Istnieje naród niemiecki, pożądane narzędzie w rozgrywkach międzynarodowych. Pojęcie agresji niemieckiej jest symbolem w dzisiejszym języku politycznym. Oznacza ono każde niebezpieczeństwo wojny, w której jako narzędzie wziąłby udział naród niemiecki, niezależnie od tego, w czyich rękach pozostawałaby inicjatywa polityczna.

Różnica między sytuacją Niemiec dziś a w roku 1939 polega na tym, że wówczas były one podmiotem dziejowym, a dziś przestały decydować o sobie, przestały czasowo wpływać aktywnie na przebieg dziejów. Różnica ta ma oczywiście olbrzymie znaczenie moralne dla Niemców, dla Polski jednak jest tylko o tyle istotna, o ile dysponenci narodem niemieckim byliby zdecydowani wykreślić Niemcy również jako narzędzie polityczne. Jak dotąd nic na taką decyzję nie wskazuje.

Polska po rozbiorach była nie tylko bezbronna i bezsilna. Rozbiorcy nie tylko zobowiązali się wzajemnie nie używać Polski jako narzędzia politycznego, ale nawet zobowiązali się nie wymieniać nigdy Jej imienia. Niemcy zaś w wyniku tej wojny nie tylko nie ulegli rozbiorom,

Borowy

OJCZYZNA

Długo byłaś dla nas obcym słowem —
od święta,
fałszywym,
jak uśmiech prezydenta.
Nie schodziłaś z ust generałów,
z amarantów,
aż zeszłaś wreszcie zdradzona,
do ludu — do partyzantów.

Tam, nikt nie grał bohaterów,
a jeśli chwytał się za serce!
to naprawdę,
to umierał.

Tam w bitwach i pieśniach,
a pieśni są harde,
a życie jest twarde —
przestałaś być słowem na paradę.

W ludziach prostych, w prostej śmierci,
znowu nabrałaś krwi,
serdecznej treści —
— cześć Ci!
[illegible]bo tylk
— pomą... (Z antologii poezji polskiej 1939—1945).
[illegible]a:
— świerszcz pio[illegible]k. [illegible]jrz —

Warszawa, 8 maj 42 r.

lecz istnienie ich jako argumentu politycznego jest milcząco uznane przez wszystkie mocarstwa okupujące.

Stwierdzenie tego stanu rzeczy musi stanowić dla Polski specjalną przestrogę. Wiemy dobrze z naszej przeszłości, czym grozi perspektywa odbudowania silnych Niemiec w jakiejkolwiek strukturze Europy. Grozi nieuchronnym konfliktem polsko-niemieckim, który, abstrahując od istniejącej różnicy sił, nigdy nie może się zlokalizować. Każde rozszerzenie się konfliktu jest zaś dla Polski nowym niebezpieczeństwem.

MITTELEUROPA.

Problem polsko - niemiecki streszcza się do zagadnienia walki Polski z niemieckim planem Mitteleuropy. Podstawę minimalnego planu niemieckiego stanowi teza, że wszystkie narody znajdujące się pomiędzy blokiem wschodnim i zachodnio-europejskim, winny być podporządkowane narodowi niemieckiemu. Owa „pax germanica" pomiędzy Renem a Dnieprem, od morza Północnego conajmniej po Alpy — to właśnie Mitteleuropa.

Walka polsko-niemiecka, to także walka konkurencyjna o rolę do odegrania pomiędzy wschodem i zachodem Europy. Położenie Niemców było pod wieloma względami lepsze od położenia Polaków. W miarę konsolidowania się państwa niemieckiego wokół jądra pruskiego, Niemcy obejmowały coraz to bardziej kontrolę nad przejściem z morza Północnego na Bałtyk, tym samym odcinały w sposób zasadniczy Europę zachodnią od wschodniej. Nie ciążąc ku Bałkanom i Europie południowej, jak Austria, wykazując dużą jednolitość etniczną — blok niemiecki zaczął od XVIII wieku odegrywać rolę owej „balance of power", czynnika przesądzającego równowagę sił w aktywnej polityce części Europy.

Polska bezskutecznie próbowała się temu przeciwstawić. Nie zdobywszy się na zniszczenie narastającej potęgi niemieckiej, nie objąwszy ostatecznie przewodnictwa na wschodzie Europy — była ona skazana do roli współzawodniczki jako owa „balance of power", jako czynnik równowagi.

Obrazowo rzecz biorąc, starała się Polska dla siebie o największy popyt na giełdzie międzynarodowej. Im więcej mocarstw uznawało użyteczność polityczną Polski w układzie sił europejskich, tym lepsza i pewniejsza była nasza sytuacja. Jednak do tej samej roli konkurował z nami naród niemiecki, próbując przekonywać swą dyplomację, że jedynie on może spełnić rolę czynnika równowagi. Nasza polityczna i militarna niemoc w XVIII wieku przesądzała na naszą niekorzyść ten pojedynek. To też zawsze, gdy powstawał dylemat Polska czy Niemcy, mocarstwa wybierały Niemcy. Gdy zaś Prusy stawały przed ewentualnością poparcia Polski, nigdy się im to w ostatecznym wyliczeniu nie opłacało. Tak na przykład Polska, walcząc w okresie między pierwszym a drugim rozbiorem z narzucającą się hegemonią rosyjską, próbowała bezskutecznie wygrać na swą korzyść antagonizm prusko-rosyjski. Liczyliśmy wówczas na to, że oferując swoje przymierze Prusom przeciw Rosji, postawimy się w roli niezbędnego sprzymierzeńca, tym samym ratując swoje istnienie. Rzeczywistość ówczesna rozwiała złudzenia. Zarówno Rosja jak i Anglia ówczesna szukały raczej Prus, jako partnera, niż Polski. To też konflikt skończył się kompromisem, którego ceną był rozbiór Polski. W Jej obronie praktycznie nikt nie stanął.

Mocniej jeszcze występuje konkurencja wschodnio - pruska na arenie międzynarodowej w okresie Kongresu Wiedeńskiego w r. 1815. Prusy ustawiły się wówczas w wygodnej pozycji pośrodku pomiędzy zwalczającymi się siłami. Po jednej stronie stała Rosja Aleksandra I, po drugiej — koalicja angielsko-francusko-austriacka pod wodzą Castlereoghe. Minister angielski ma przed sobą dwie drogi: albo popierać odbudowanie silnej i niepodległej Polski, kosztem odebrania Prusom całego t. zw. W. Księstwa Poznańskiego, albo też pozostawić okrojone Królestwo Kongresowe Aleksandrowi, a poprzeć żądania pruskie. W przekonaniu, że Polska nie jest w stanie skutecznie się przeciwstawić Rosji Castlereoghe decyduje się ostatecznie poprzeć sprawę pruską. Ostatecznie wychodzą z Kongresu Wiedeńskiego Prusy zwycięsko — zyskując spory obszar Polski, część Saksonii i całą Nadrenię. Kongres Wiedeński stworzył podstawę pod przyszłe Cesarstwo Niemieckie, pod Sadowę. Sedan, rok 1914, rok 1939.

W okresie powstań niepodległościowych konkurencja polsko-pruska staje się beznadziejną. Wszelkie próby wysunięcia sprawy polskiej na arenę międzynarodową kończą się niepowodzeniami. Europa zachodnia, jeśli szuka przeciwwagi wpływom rosyjskim — znajduje je w Niemcach (okres Świętego Przymierza, Wojna Krymska), jeśli szuka przeciwwagi przewadze niemieckiej (po 1870 r.) — znajduje ją w Rosji. Powstania polskie upadają, gdyż sprawa polska na arenie międzynarodowej zawsze zostaje poświęcona przewadze naszych sąsiadów.

ROK 1933.

Odzyskanie niepodległości po pierwszej wojnie światowej było, między innymi, wynikiem zupełnie specjalnego układu sił międzynarodowych. Po rozbiciu Niemiec i bezsilności wstrząsanej rewolucyjnymi wybuchami Rosji, Polska miała wszelkie dane, by móc stanowić przeciwwagę dla Niemiec w układzie Europy środkowej. To też rola Polski w okresie 1918—1939, powinna była być rolą strażnika przed potęgą niemiecką u ich wschodnich granic. Był to okres zupełnie wyjątkowej koniunktury politycznej, koniunktury niewyzyskanej.

Rok 1933 był przełomowym w historii tego okresu. Obudzenie się niemieckiego imperializmu stało się faktem. Europa zachodnia nie tyle nie doceniała niebezpieczeństwo niemieckie, ile liczyła, iż uda się jej skanalizować i uczynić imperializm niemiecki posłusznym narzędziem rozgrywek politycznych. Ta koncepcja milczącego poparcia imperializmu niemieckiego stawiała państwo polskie przed nową groźbą Mitteleuropy, w której nie było miejsca dla nas.

Wiadomem jest dziś, że w tym czasie planował marszałek Piłsudski wojnę prewencyjną przeciw Niemcom. Wiadomem jest też, że dla planów tych, rzecz oczywistą, nie uzyskał poparcia mocarstw zachodnich. Zarzucenie tego planu, to zasadnicze źródło klęski wrześniowej. Rok 1933 był ostatnim, gdy Polska miała szanse na samoistną rozgrywkę zbrojną z Niemcami. Wojskowo byliśmy u szczytu naszych możliwości. Ani Niemcy, ani mocarstwa zachodnie nie posiadały jeszcze masowo broni nowoczesnych, czołgów, samolotów. Polska zaś posiadała w dostatecznej ilości sprzęt elementarny, którym mogłaby szukać rozstrzygnięcia na polu walki. Wojna w roku 1933, to byłaby jeszcze wojna piechoty, kawalerii i artylerii, w których Polska przodowała, posiadając przewagę liczebną wobec braku u Niemców zorganizowanych magazynów mob. i przeszkolonych rezerw. Polska wystąpiłaby w r. 1933 z tym samym uzbrojeniem i organizacją, co w roku 1939, lecz jakże inaczej wyglądałby przeciwnik. Politycznie zaś rzecz biorąc, nie mogła Polska ze strony mocarstw zachodnich spodziewać się innych sankcyj, niż te, które zniosły Włochy w roku 1935. Jest też mało prawdopodobne, by ze strony ZSRR mogła wyjść jakaś interwencja przeciw prewencyjnej wojnie polsko-niemieckiej.

Mimo tych sprzyjających okoliczności, marszałek Piłsudski nie zdecydował się na krok samodzielny, przekreślił swoje plany. Historia może kiedyś wykaże, czy to niewyzyskanie koniunktury było dowodem krótkowzroczności i chwiejności politycznej, czy były jakieś poważne przeszkody, uniemożliwiające zrealizowanie planu wojny prewencyjnej, czy też poprostu wraz z żywotnością słabła energia trawionego już śmiertelną chorobą męża stanu?

Po roku 1933 polityka polska w stosunku do Niemiec działa już tylko półśrodkami. Półśrodkami są traktaty o nieagresji z Niemcami i z ZSRR., półśrodkiem jest wznowienie sojuszu z Francją, półśrodkiem jest szukanie gwarancyj angielskich. Wojna zbliżała się z każdym dniem, z każdym dniem sytuacja polska stawała się beznadziejniejsza.

Wreszcie nadszedł rok 1939. Wobec oczywistego nieprzygotowania do wojny zarówno Francji, jak i Anglii, dla wtajemniczonych (jakże nielicznych) było rzeczą oczywistą, że Polska sama natarcia nie wytrzyma.

Raz jeszcze w pojedynku politycznym zwyciężyły Niemcy. Rosja, która już wówczas czujnym okiem śledziła przebieg międzynarodowych zmagań. Proste obliczenie wystarczyło, by udowodnić, że chwilowe przymierze z Niemcami, odraczające konflikt, da jej znacznie więcej korzyści, niż wystąpienie w obronie Polski.

TAJEMNICA POLISZYNELA.

Sytuacja polityczna Polski w roku 1945 jest zupełnie inna niż w roku 1918. Jeden z elementów pozostaje ten sam. Jest nim dążność polityków do utrzymania Niemiec w roli złego psa na uwięzi, zawsze gotowego do skoku. Jakiekolwiek miałby ten pies zadania — zawsze pozostanie dla nas groźny.

Wojna 1939—1945 została wygrana przez współdziałanie dwóch zasadniczo różnych obozów politycznych. Różnice pomiędzy sprzymierzonymi w tej wojnie były znacznie większe niż te, które dzieliły Aliantów w czasie pierwszej wojny światowej. Wchodzą tam w grę nie tylko elementy światopoglądowe. Zarówno Anglosasi, jak i ZSRR. mają swoje własne plany. Dziś toczy się walka o to, w czyim ręku pozostanie inicjatywa. Obie strony wciągają do tej rozgrywki wszystkie posiadane atuty.

Jest dziś tajemnicą poliszynela, że Anglosasi dążą bezwzględnie do całkowitego zdobycia sobie pokonanych Niemców. Jest też tajemnicą poliszynela, że olbrzymia większość niemieckiej opinii publicznej, niepomna nauk Goebbelsa, widzi jedyny ratunek w wysługiwaniu się Anglosasom.. Złożyło się na to wiele przyczyn. Poza wszelkimi przyczynami politycznymi w pierwszym rzędzie wzajemne sympatie wyrastają ze wspólnego pnia kulturalnego. Konsekwencje tego rodzaju flirtu są zbyt groźne dla Polski, by wolno było ten problem pomijać milczeniem. Choćby nawet ten flirt miał charakter jak najbardziej platoniczny, choćby nawet nie miał nigdy zamienić się na ściślejszą współpracę, to jednak bezpośrednie skutki tego stanowiska odczuwamy już dziś na własnej skórze.

Niechęć Anglosasów do przyznania nam ziem zachodnich, protest przeciwko wysiedlaniu Niemców ze strefy polskiej, oto widoczne elementy sytuacji politycznej.

Polska, w sytuacji, w której się obecnie znajduje, musi oceniać wypadki międzynarodowe ze zdwojoną czujnością i obiektywizmem. Musimy sobie dobrze zdać sprawę, że nie stanowimy dziś bynajmniej punktu centralnego rozgrywek międzynarodowych. Przeciwnie, sprawa polska jest tylko jednym z elementów. Z tego też powodu ocenianie obcych intencyj politycznych przez wyłączny pryzmat interesów polskich może tylko doprowadzić do dalekoidących nieporozumień i zawodów. Nigdzie nie należy doszukiwać się w całości interesów polskich.

To też, wracając do zagadnienia niemieckiego, trzeba stwierdzić, że niezależnie od wszelkich innych intencyj w rozgrywkach międzynarodowych, stanowi ono wyraźną groźbę w stosunku do Polski i jej interesów. Stoimy raz jeszcze wobec problemu: czy zagadnienie niemieckie nie zdystansuje, nie pokona zagadnienia polskiego, czy raz jeszcze rozgrywki o znaczenie polityczne nie wygrają Niemcy przed Polakami. Gdyby bowiem ZSRR. poszło na wyścig z Anglosasami w zdobywaniu sobie sympatii niemieckich, to wówczas sprawa polska musiałaby zostać pogrzebana na arenie międzynarodowej, tak jak to już miało miejsce w historii. Pozbawiona kresów zachodnich byłaby Polska w tej konstelacji ostatniorzędnym tworem politycznym.

Tak być nie może.

POKÓJ ZEWNĘTRZNY

A POKÓJ WEWNĘTRZNY

Z obecnej wojny wyszła Polska osłabiona wewnętrznie, zburzona i zrujnowana. W tym stanie, w którym jest obecnie, zdajemy sobie dobrze z tego sprawę, posiada ona małą wartość z punktu widzenia giełdy politycznej. Niewyczerpany zasób energii witalnej społeczeństwa gwarantuje jednak, że w niedługim czasie po odbudować na tyle, by móc aktywną rolę odegrać w sytuacji międzynarodowej. Każde państwo taką wartość przedstawia, jaką rolę pozytywną potrafi odegrać.

Wypadki międzynarodowe każą sądzić, iż ZSRR. zdaje sobie sprawę, iż przeciwwagą wpływom niemieckim w środkowej Europie może być tylko silna, niepodległa Polska. Na to jednak potrzebny jest pokój zewnętrzny i spokój wewnętrzny. Niech ci wszyscy, którzy dziś modlą się o następną wojnę, dobrze sobie zdadzą sprawę, że Polska w niej żadnego poważnego udziału nie mogłaby wziąć, ani wojskowo, ani politycznie.

Jedna jest przed Polską droga, droga pokoju, droga wewnętrznej odbudowy. Zdajemy sobie dobrze sprawę, że rozgrywki międzynarodowe odbijają się w naszych wewnętrznych stosunkach. Pragniemy wszyscy, by one były najlepsze i śledzimy przeto z napięciem wszystko, co mogłoby się przyczynić do ułatwienia pełnej odbudowy państwowości polskiej. Nie możemy jednak zatracać z oczu narastającej możliwości nowej konkurencji polsko-niemieckiej.

Zarówno dla dobra europejskiego pokoju, jak i dla naszej własnej sprawy, Polska musi wyrosnąć do roli pełnowartościowej przeciwwagi Niemcom. To pozytywne zadanie musi być też zasadniczym punktem wyjścia stosunków polsko-rosyjskich. Tak jak wszystkie stosunki polityczne, by były rzeczowe, muszą się opierać na wzajemnym zrozumieniu interesów. Jest w interesie ZSRR., by silna Polska stała na straży nad Odrą i Nisą, by nie pozwalała na odrodzenie się niemieckiego imperializmu.

Jest faktem oczywistym, iż wbrew ZSRR. tego nie dokonamy, tak jak jest faktem oczywistym, że gdyby dziś ZSRR., wbrew własnym interesom, zdecydował się na popieranie Niemców, stanowiłoby to cios niezmiernie poważny dla państwowości polskiej.. Tak więc samodzielna rola polityczna Polski wiąże się ściśle z zagadnieniem wewnętrznej odbudowy. W konfiguracji ekonomiczno-geograficznej zagadnienie to jest ściśle związane z opanowaniem kresów zachodnich.

Wiele się mówi i wiele się pisze na temat braków akcji repatriacyjno-osiedleńczej. Wiele się pisze o wadliwie działającej administracji, o niewyzyskanym potencjale gospodarczym, o niedocenianiu możliwości zachodu, o zbyt łatwym zniechęcaniu się. Gazety pełne są mniej lub więcej słusznych uwag na te tematy.

Trzeba sobie jednak dobrze zdać sprawę, że kwestia odbudowy wewnętrznej siły Polski, a więc i kwestia ziem zachodnich wiąże się ściśle z problemami wewnętrzno-politycznymi dnia dzisiejszego. Cała uwaga i energia społeczeństwa zwrócona jest dziś niemal wyłącznie na problemy polityki wewnętrznej. Dopiero stabilizacja na tym odcinku umożliwiła mobilizację sił dla odbudowy gospodarczej, dla opanowania ziem zachodnich. W okresie rewolucji, nawet najłagodniejszych, nie może być mowy o celowym pokierowaniu i wykorzystaniu organicznego wysiłku społeczeństwa. Nie wolno umniejszać wagi problemów socjalnych. Nie wolno zamykać oczu na konieczność rozwiązywania ich. Jednak jeśli się dziś stawia na pierwszym miejscu, tak jak my stawiamy, problemy odbudowy znaczenia politycznego Polski i jeśli uświadomimy sobie istniejące niebezpieczeństwa — to trzeba uznać, iż racja stanu domagała się właśnie stabilizacji stosunków wewnętrznych.

Póki światopogląd chrześcijański, wyznawany przez znaczną większość narodu polskiego, nie będzie odgrywał należnej mu roli w życiu publicznym, — póty nie może być mowy o pełnowartościowej jedności narodowej. Zadania, które stoją przed Polską na najbliższy okres, w szczególności sytuacja na odcinku polsko-niemieckim, wymaga właśnie pełnowartościowej jedności narodowej.

Dopiero wówczas można będzie w pełni wyzwolić i skierować siły, które dziś drzemią jeszcze w narodzie.

W tym tylko leży sens jedności narodowej.

Wojciech Kętr

W Drukarni

Dominik Horodyński

O tradycję żołnierską A. K.

Dzięki wypadkom, dzięki błędom ludzkim, czy może dzięki tragedii, która jakoś zawsze musi się wić przez dzieje Polski — ten, który chce mówić o Armii Krajowej, który chce mówić o bezprzykładnym wysiłku Polski Podziemnej, dotyka tematu, który jest trudny — trudny i bolesny. Historia tej wojny z jednej strony opromienia chwałą bohaterstwa i ofiarności Naród cały — z drugiej jest źródłem poważnych konfliktów i nieporozumień między samymi Polakami. Tak się dziwnie boleśnie potoczyła ta historia. Słowami nie odmienimy tego, co się stało. Jedno tylko możemy dzisiaj zrobić — to pisać uczciwie i prawdziwie o naszej wielkiej i tragicznej przeszłości ostatnich lat. Napewno jest lepiej wogóle milczeć, niż pisać inaczej.

Dużo już mieliśmy wypowiedzi na temat A.K. Na łamach „Odrodzenia", „Kuźnicy" i innych tygodników zabierali w tej sprawie głos znani w Polsce publicyści jak Bednarczuk, Grabowska, Werfel, Brandys i inni. Na łamach prasy codziennej też wielokrotnie różni, niepodpisujący się zwykle dziennikarze komunikowali nam swoje opinie i oświetlenia.

Temat Armii Krajowej to temat wielki. Aby o nim pisać trzeba albo znać go doskonale, albo być jakoś blisko ze sprawą związanym, albo wreszcie umieć potraktować problem bezstronnie i poważnie.

OCENY POLITYCZNE.

Środowisko PKWN-u i związane z nim A.L. były podczas konspiracji najdalsze od A.K. Wystąpiły też z najostrzejszą krytyką jej działalności. Stwierdzić należy, że forma i rodzaj tej krytyki uległy na przestrzeni ostatniego roku wyraźnemu złagodzeniu. Dziś może lepiej już nie przypominać bolesnych dla nas wszystkich błędów—głównie propagandy pierwszego okresu. Ówczesny pogląd tego środowiska na A.K. został najbardziej wszechstronnie wyłożony w broszurze Władysława Bieńkowskiego „Powstanie warszawskie". Autor stawia A.K. szereg poważnych zarzutów. Twierdzi, że A.K. stała jedynie „z bronią u nogi", nie walcząc czynnie z Niemcami, że zajęła „wobec toczących się gigantycznych zmagań na froncie wschodnim postawą neutralności", że zastosowano „taktykę nieingerencji", że narzucono „wszystkim oddziałom wojskowym bierność", że dopiero od połowy 1943 r. rzucono hasło walki — „walki ograniczonej", że „był brak jakiejkolwiek próby wyzyskania tego faktu, że Polska była zapleczem frontu, że przecinanie połączeń między bazą a frontem mogło mieć poważny wpływ na przebieg działań".

Te tezy, które są zarzutami, wymagają odpowiedzi i sprostowania. Sprostowania te są konieczne poprostu dla ustalenia prawdy (dziś już historycznej) i dla przypomnienia tych setek i tysięcy bohaterów, którzy polegli w walce, a z których niejeden trwał w stałym zmaganiu się bojowym od września 1939 r. Nie sposób pominąć tych ludzi milczeniem i nie ustalić, że przeoczony w broszurze Wł. Bieńkowskiego wysiłek — wysiłek bezprzykładny i krwawy — istniał przez cały czas okupacji niemieckiej. Być może nie słyszał o tym autor „Powstania Warszawskiego", gdyż akcja bojowa była prowadzona w sposób jak najbardziej zakonspirowany, w zupełnym zdetaszowaniu od całości prac konspiracyjnych co umożliwiło jej ciągłe trwanie i rozwój. To też nie byłoby dziwnem, gdyby p. Bieńkowski dotychczas nie wiedział, jak ogromny, wprost niewiarogodny, wysiłek został dokonany na tym właśnie polu „walki czynnej".

Z drugiej strony prawdą jest, że poważna część podziemnych sił zbrojnych „stała z bronią u nogi". Taktyka ta wynikła poprostu z samego charakteru i koncepcji Armii Krajowej nadanej jej przez własne dowództwo.

Dowództwo to obciążamy odpowiedzialnością większą, niż zwykło się obwiniać ludzi za ich błędy polityczne.

Krzywda żołnierzy A. K., krzywda niesłuszna, wynika bowiem w dużej części z krótkowzroczności politycznej Dowództwa A. K., z przyjęcia i stosowania w praktyce założeń politycznych rządzącego ówcześnie obozu emigracyjnego.

Żołnierz A. K. wypełniał rozkaz. Zarzut „stania z bronią u nogi" nie uderza zatem w postawę żołnierską A. K. Jest zaledwie polityczną oceną tego ogólnego planu Dowództwa A. K., które politycznie przegrało.

Artykuł niniejszy stawia sobie za zadanie podkreślenie żołnierskich wartości A. K., które istniały i istnieją niezależnie od planów i błędów politycznych Dowództwa.

Żołnierz A. K. ma prawo do pełnego uznania jego bojowości, bohaterstwa i patriotyzmu.

RÓŻNICE.

Trzy były momenty różniące zasadniczo charakter A.K. od charakteru A.L.

I. — organizacje bojowe, które w 1943 r. znalazły się w A.K. powstały i rozpoczęły swą działalność znacznie wcześniej od A.L. Powstały w chwili, gdy w stosunkach polsko-rosyjskich nastąpił najtragiczniejszy bodaj okres. O uczuciowych skutkach tego smutnego okresu pisał ostatnio Wiończek w „Odrodzeniu". Z tego historycznego już dzisiaj faktu wynikły proste konsekwencje. Z.W.Z., późniejszy główny trzon A.K. był kierowany i finansowany przez jedyny wówczas rząd polski znajdujący się w Londynie. Stąd między innymi późniejsza wierność dla polityki tegoż Londynu, jak i pewne opory czy urazy psychiczne w stosunku do Zw. Radzieckiego.

Stąd w żołnnierskiej, a nie politycznej postawie żołnierza A. K. posłuszeństwo rozkazom, realizującym szkodliwą, jak się okazało, politykę rządzącego obozu emigracyjnego.

Już we wrześniu rozpoczęły działalność — Z.W.Z., T. A. P., K.O.P. i szereg drobniejszych organizacji dywersyjnych. W pierwszym okresie działalności, który trwał mniej więcej do połowy 1941 r., poza pracą organizacyjną, prowadzona była na różnych odcinkach akcja sabotażowa. Niszczono sprzęt kolejowy, samochodowy, zapasy benzyny i t. d. likwidowano groźniejszych gestapowców i ich agentów, jak chociażby głośna w Warszawie sprawa Igo Syma w 1940 r. W tym też czasie w okolicach bardziej lesistych jak Kieleckie, Zamojszczyzna czy Podkarpacie działały drobne oddziały partyzanckie, stworzone głównie z nierozbrojonego we wrześniu wojska. Dalekie jest od prawdy twierdzenie, że dopiero od połowy 1943 r. zaczęła się „walka ograniczona".

II. Kierownictwo A.K. składało się z zawodowych wyższych oficerów. Lloyd George powiedział „nie ma rzeczy groźniejszej, jak poglądy polityczne paradujące w mundurach generalskich".—Kierownictwo to przegrało. Drogo ta przegrana kosztowała Naród cały. Uczciwie stwierdzić należy, że tragiczna w skutkach taktyka polityczna kierownictwa A.K. była prowadzona w warunkach pod każdym względem niesłychanie ciężkich, w których chyba tylko człowiek zdolny do wielkich i śmiałych decyzji mógł wyjść cało. Wydaje się, że człowieka takiego w dowództwie A.K. nie było.

III. Armia Krajowa była wojskiem. Tak ją rozumieli i oceniali żołnierze.

A. K. w pojęciu własnych: żołnierzy nie reprezentowała żadnych określonych poglądów ideowo-politycznych. Jej oblicze społeczne było bardzo zróżniczkowane. Jak do każdego ochotniczego wojska, wchodzili do niej najdzielniejsi ze wszystkich warstw społecznych, jak w każdym wojsku ideologia była bardzo nieskomplikowana — poprostu „bij Niemca" Naturalnie żołnierze A.K. walczyli o inną, lepszą Polskę niż przedwrześniowa, ale styl jaki ich cechował, był stylem czysto żołnierskim.

Jest głęboko niesłusznym łączyć konieczne odcinanie się od nieodpowiedzialności politycznej i wojskowej głównego dowództwa A.K. z fałszywym przedstawianiem tradycji żołnierskiej A.K.

A więc zarzut „stania z bronią u nogi" jest słuszny odnośnie siatki terenowej A.K., która była masową organizacją bezbronnych garnizonów, przeznaczonych do przygotowywanego powstania. Sama koncepcja tych garnizonów była niewątpliwie błędne. Powody polityczne stworzenia siatki terenowej należały do kategorii tych posunięć, za które potem niesłusznie płacił żołnierz A. K.

Siatka terenowa t. zw. linia była jednak tylko częścią Armii Krajowej. I to częścią mniej wartościową. Zasadniczym trzonem bojowym A.K. była dywersja. Dywersja obejmowała akcje grup bojowych i grup partyzanckich.

Grupy te walczyły, dokonywały akcji zwycięskich, krwawiły się nieustannie i działalność ich stanowi zasadniczy wkład do dziejów walki polskiej z Niemcami w tej wojnie.

Tu nie może być mowy o staniu „z bronią u nogi".

WALKA CZYNNA.

W zdetaszowaniu od linii powstały więc oddziały dywersyjne dowodzone centralnie. Dzieje dywersji — to dzieje walki.

Śmiesznym byłoby silić się w ramach artykułu na opis — choćby bardzo pobieżny — działalności całej dywersji. Kto dziś wie ile pociągów i lokomotyw wylatywało miesięcznie w powietrze, ile było zamachów na konwoje, samochody czy poszczególnych Niemców, ile razy odbijano więźniów, ile było bitew w lasach, ile zdobytych posterunków czy bunkrów, ile podziemnych fabryk produkujących sprzęt dywersyjny, ile było krwi i trudu. Ale pisząc o tym trzeba dać parę przykładów. Przykładem takim, który dla polemiki przytaczamy p. Bieńkowskiemu, może być działalność grupy „W". Grupa „W" powstała w 1941 r. zaraz po uderzeniu niemieckim na Związek Radziecki. Założenie było następujące:

1. Obsadzić bojowymi oddziałami (Komandosami) wszystkie arterie komunikacyjne żelazne i bite od Bałtyku do Morza Czarnego na terenie na Zachód od Dźwiny i Dniepru — czyli zaraz za linią frontu.

2. Przygotować destrukcję obiektów kolejowych i szosowych na tym terenie.

3. Przygotować plany akcji partyzanckich i dywersyjnych w rejonie tych obiektów dla utrudnienia naprawy i pogłębienia destrukcji.

4. W chwili rozpoczęcia przez Armię Czerwoną ofensywy, dokonać jednoczesnego przecięcia arterii komunikacyjnych na tyłach wojsk niemieckich i tym współdziałać z ofensywą, utrudniając Niemcom połączenie tyłów z frontem.

Komendantem akcji został znany z prawości i odwagi ś. p. Damian.

Wykonywanie zadań powierzonych cechowała postawa żołnierska bez względu na kryjące się ewent. aspekty polityczne Dowództwa, powołującego grupę do działania.

Praca nad wykonaniem założenia trwała w niedoopisania trudnych warunkach aż do wiosny 1942. Przewiezienie każdej partii komandosów o setki kilometrów, każdego kilograma wybuchowych materiałów i broni, było każdorazowo wyczynem wprost niewiarogodnym. Trzy granice niemieckie, strzeżone przez oddziały Wermachtu, żandarmerii i Gestapo, kontrole drogowe i szpiegostwo na miejscu przeznaczenia, stwarzały syzyfowe warunki prac. Mimo to jednak na wiosnę 1942 obsada całości terenu została dokonana.

Niestety zawiodła oczekiwana ofenzywa wojsk radzieckich i front przesunął się na wschód. Wobec tego dowództwo nakazało dokonywania periodycznych akcji dywersyjnych, rezygnując z jednoczesnego uderzenia na całym froncie. 5 maja 1942 r. był dniem pierwszej akcji komandosów „W". Pięć patroli rozstawionych na liniach kolejowych: Stołpce — Mińsk, Mińsk — Bobrujsk, Mińsk — Barysów, Mińsk — Mołodeczno i szosie Baranowicze — Słonim, dokonało jednoczesnego przerwania tych linii komunikacyjnych ładunkami plastiku. Od tego dnia aż do końca 1943 r. dokonanych zostało szereg podobnych akcji na pociągi i szosy oraz akty sabotażu, jak niszczenie parowozów, palenie składów, wysadzanie amunicji i t. d. Walka trwała wśród ciągłych zderzeń z oddziałami Wermachtu, SS i żandarmerii. Krwawe potyczki, przebijanie się przez okrążające oddziały niemieckie, obławy, aresztowania itp., stale towarzyszyły tym wysiłkom.

Dowództwo akcji „W" dążyło wytrwale do nawiązania kontaktu z partyzantką radziecką. Znana w kręgach tej organizacji współpracowniczka bojowa „Sonia" pracowała jednocześnie dla oddziałów sowieckich i polskich. W styczniu 1943 oddział „W" pod dowództwem poległego w walce z Niemcami o Wilno ś. p. Ponurego odbił więzienie w Pińsku, uwalniając przy tym kilkunastu partyzantów sowieckich. Ceną tego zwolnienia było rozstrzelanie kilkudziesięciu zakładników Polaków.

Oto bardzo pobieżny szkic akcji „W". Na dużą skalę zakrojonej akcji bojowej, która kosztowała wiele żyć prawdziwie bohaterskich, a której jedynym celem była walka z Niemcami na wschodzie. Akcja ta była niewątpliwie korzystną dla wojsk radzieckich.

Andrzej Łomień-Trzebiński

BARDZO POLNA

Że szyny takie proste, a odjazdy — zawiłe i białe: w kwiatach, w gałązkach
Popatrz i zacznij się dziwić najwcześniej,
— wcześnie, jak zorza poranna...
— bo będzie dawniej i dziwniej i nie nadążysz i za wolno
okaże się biegniesz i za wolno pociąg odejdzie...
i tak będzie jakbyś się spóźniła nie na pociąg, a na całe życie.

Słuchaj:
te szyny takie proste krajem się szczerym kończą i w bajkę skręcać nie warto,
bo kraj jest do połowy tulipanem, jak syrena, ogromnym i czerwonym tulipanem
a od połowy —
— i wyjść w pole to znaczy w tulipany,
— czy szumią?
O nie — to nie jest Holandia ten kraj, o którym mówimy...
— nazywa się inaczej i prawdziwiej.
i wiesz?
Aby ujrzeć morze — niebieskie jak kredki — trzeba podnieść głowę wysoko
i obok nieba.
— bo morze jest w górze na zawsze
— czy szumi?
Tak. Kiedy wchodzisz w pole, musi przecież szumieć, bo tulipany pachną
jedynie i są czerwone,
A czasem, ale rzadziej żółte.
Oto tak: bajka nie zawsze wije się sama i lekko, jak chmiel, trzeba kłamać. A to jest proste i proste i prawda. Tylko, że dalsze od twojego odjazdu w kwiatach,
— dalsze, chociaż każdy odjazd jest daleki.
Tamten kraj nazywa się depresja.
A ten? —
— ten jest krajem wielu wojen i pól chwały
Albo tylko:
— polną... polną... polną...
bardzo polną — —
— świerszcz piosenką na ciszy dojrzewa.

Warszawa, 8 maj 42 r.

KRZYWDA.

Ta wojna nie była wojną nieznanego żołnierza. Nie była wojną okopów i gazów — wojną szarej masy żołnierskiej. Indywidualny charakter, zdolność poświęcenia się i bohaterstwo odgrywało decydującą rolę. Kim byli ci chłopcy, którym my wszyscy — którzy pozostaliśmy — winniśmy tak wiele? Jakie są ich nazwiska — gdzie chwałą okryte groby?

Dobrze znałem ludzi z jednej z najwybitniejszych grup dywersyjnych. Grupa liczyła 30 członków w wieku od 18 do 40 lat. Walczyli ciągle — wysadzali mosty pod Lwowem, pociągi pod Lublinem i Zaklikowem, zniszczyli samoloty na lotnisku bielańskim, odbijali więźniów, dokonywali zamachów na szosach i w Warszawie — ciągle byli w najtrudniejszych akcjach. Jeszcze przed powstaniem wszyscy bodaj zginęli. A z Nimi razem zginęła pamięć o Nich. Nikt nie pamięta dziś Ich pseudonimów, mało kto nazwiska i miejsca opuszczonych grobów. Nikt nie wspomina Ich czynów. A takich jak Oni, o takim losie — jest wielu.

Stała Im się wielka krzywda. I Tym, co zginęli i tym nielicznym, którzy gdzieś żyją. Oddali Oni Polsce to, co mieli — oddali poprostu z głęboką wiarą, że tak trzeba. Jedynym Ich szczęściem było poczucie prawości czynu.

Słusznie się z dumą pisze o tych, którzy szli przez Narvik, Tobruk i Monte Cassino — słusznie o tych, którzy szli z nad Oki przez Lenino i Warszawę do Berlina i Łaby. Dobrze zasłużyli się ojczyźnie.

Szanujemy okryte kwiatami groby A.L.-owców, ale dla nas — dla tych wszystkich, którzy przeżyli wojnę w kraju a nie byli związani z A.L. — najbliżsi są żołnierze A.K.

Nie możemy i nie chcemy o Nich zapomnieć. Historia żołnierzy Armii Krajowej już dziś przeszła do legendy. Piękne życia i piękne śmierci Jej chłopców przeszły do „pieśni gminnej". A na straży Ich pamięci stoi miłość ludzka. Obowiązkiem naszym jest pisać to, co o Nich wiemy — pisać dopóki pamiętamy. Musimy zachować dla przyszłych pokoleń tradycję kołnierzy A.K. — tradycję pięknej walki.

Jeśli potrafimy pisać uczciwie i bez niedomówień, jeśli prawda zostanie bez żadnych tendencji wypowiedziana — to wtedy dopiero pozytywne, nieprzemijające wartości, jakie żołnierze A.K. w naszą historię wnieśli, będą mogły być powszechnie i co ważniejsze, szczerze przyjęte.

Dominik Horodyński

DNI HEROICZNE

Faktem jest, że dotychczasowa literatura powstańcza nie tylko stanowi szczupły rozdział w publikacjach o tematyce wojennej, ale nosi wyraźne piętno jednostronności, naświetlając jedno oblicze Powstania Warszawskiego—oblicze klęski i męczeństwa.

Mimo, że w dzisiejszej publicystyce powstaniowej zwykło się uprzytamniać i drugi aspekt, jakim na dni sierpniowo-wrześniowe spoglądać należy — aspekt bohaterski, jakże przeźroczyste jest dotychczas w literaturze heroiczne oblicze Powstania.

Komuś postronnemu: wydać by się mogło, że te 64 dni Warszawy Walczącej, to wyłącznie dni śmierci, kanałów i kapitulacji.

Wyblakły w ujęciach literackich pierwsze dni wolności, dni niezłomności i niespotykanego w dziejach wojny bohaterstwa żołnierzy i ludu.

Poniższe impresje reportażowe pisane były w toku Powstania, między jednym a drugim uderzeniem pocisku, zanim narosła świadomość klęski i w gruzy rozpadło się umiłowane Miasto.

Wtedy istniał i powszedni dzień powstańczy, ale ponad wszystkim trwało to drugie oblicze Powstania — zacięty, zdecydowany profil żołnierza. Dlatego pragnąłbym, żeby te impresje choć trochę naświetliły zciemniałe dziś kontury dni heroicznych.

Stanisław Ziembicki

Nowy Świat

Pod nami Nowy Świat. W wyrwie na pierwszym piętrze posterunek AK. Wory z piachem i kupy cegieł, a obok — orzechowy stolik na krętych nóżkach.

W sąsiednim pokoju siwa pani o łagodnych oczach usiłuje zebrać ze stołu okruchy cegieł. Zmiata je powoli na platerową śmietniczkę, którą nosiła dotychczas tylko okruchy chleba. Na stole, obok kartek żywnościowych na sierpień, leży hełm — wygląda jak wielki bochen chleba.

Tu niedawno warczały jeszcze dwa „Tygrysy". Rzuty granatów od Świętokrzyskiej odstraszyły je jednak szybko. Teraz jest cicho i siwa pani może spokojnie zbierać okruchy cegieł. Widocznie dlatego uśmiecha się łagodnie do surowych twarzy żołnierzy stojących w oknie.

Tutaj dawniej był balkon i kwitły biało-czerwone pelargonie. Jeszcze jedna doniczka stoi obok opartego o nią kb. Balkonu już niema, zato w oknie wieje wielka biało-czerwona flaga.

Z bramy naprzeciw wyfrunęły dwie łączniczki. Swoi, nie strzelać — pisnęły cienkim dyszkantem i znikły.

— A któżby tam do was strzelał, śmieje się plutonowy, mamy oszczędzać amunicji.

W oddali płonie Gastronomia. Widać drobne figurki niemców przeskakujących do BGK. Nowy Świat nie strzela — oszczędza amunicji. Przyjmie ich odpowiednio barykada na Brackiej, przyjmie napewno nie tak, jak ta siwa pani przyjmuje u siebie w domu powstańców z AK.

Wychodzimy i znowu nam się zdaje, że ten hełm leżący obok kartek żywnościowych na sierpień — to naprawdę bochen chleba.

6 sierpień 1944.

Dowódca

W odległości czterech rzutów granatem — bitwa. Ostre natarcie niemieckich czołgów. Kaszlący ogień broni maszynowej.

Jesteśmy u dowódcy odcinka. On sam stoi w parterowym oknie od podwórza. Tu nadchodzą meldunki. Twarze gońców dymią — są czarne, spocone, zaciekłe. Każdy meldunek przemienia się w rozkaz i wraca do linii. Meldunek — rozkaz. Meldunek — rozkaz. To wygląda jak wymiana strzałów.

— Poruczniku, atakują — granatów i benzyny!

— Wziąć stu na ochotnika i wydać im..

— Poruczniku, z czwartego piętra ktoś z tyłu do nas...

— Dwóch ludzi, peemy i...

Ten porucznik ma dwadzieścia rąk. Gasi pożar — szykując benzynówki, odpiera atak — zbierając rannych, jest w pierwszej linii na Żelaznej — walcząc z dywersją na Złotej.

10 sierpień 1944.

Warząchew i peem

Tuż przy linii jest Gospoda Pężetek. Tu spotykają się dwa światy: zimna krew i gorąca zupa, warząchew i peem. Pracują nieustannie zgrabne rączki pężetek. Trzeba nakarmić żołnierzy, wydać prowiant na trasę, uzupełnić zapasy, a już czekają na obiad rodziny uciekinierów z Woli.

Żołnierze wpadają do izby. Niedawno odpierali atak czołgów, teraz atakują grupę pężetek — jeść.

Jedzą tak, jak strzelają — razem i szybko. Tak dziwnie ujmują łyżki, jakby je chcieli odbezpieczyć. Są zdyszani i chmurni, dlatego oczy dziewcząt są ciepłe. Spieszą się, jakby w obawie, że szturmówka bez nich pójdzie na wypad.

Twarze pężetek niewyspane i gorączkowe pochylają się nieustannie nad czuprynami rudymi od kurzu. Oto dźwiga dymiący kocioł osiemnastoletnia Hanka. Wróciła przed chwilą z pobliskiego lazaretu, oddawszy rannym powstańcom 300 centymetrów sześciennych serdecznej swej krwi.

Czasami w pobliżu uderzy granat, wtedy zupa ma smak tynku, a oczy pężetek są smutne. Żołnierze już zjedli i wypadli. I znowu nowi.

Kochane dziewczęta! Może wtedy, gdy znajdą chwilę czasu, by zjeść swoje śniadanie i obiad — będą mogły się trochę przespać...

Nie, między stanowiskiem bojowym, a Gospodą Pężetek jest tylko drobna różnica, a może niema żadnej, bo ta warząchew leżąca na barykadzie z worów cukru i mąki wygląda jak najprawdziwszy peem.

20 sierpień 1944

Meldunek

PASTa. Gmach forteczny. Szczyt zakrwawiony jeszcze flagą hitlerowską, ale na pierwszym piętrze już fruwa biało-czerwony proporczyk. Lecą płonące żagwie i padają między żelazne kościotrupy pojazdów przed gmachem. To pada PASTa. Kursują nosze, kubły z wodą i z benzyną. Jeszcze z pierwszego piętra wylatuje granat, ale już do tego miejsca dopadają strzały. W oknach i bramach czuwają celne luty karabinów.

Żaden niemiec nie może ujść!

Widać przeświecającą między framugami rogatywkę rotmistrza. Spokojnymi ruchami rąk kieruje oddziały.

Miotacze ognia — naprzód!

I wreszcie. W ciemnym otworze piwnicy podniesione do góry ręce. PASTa poddaje się! Wychodzą powoli. Głowy wtulone w ramiona i tylko ręce wysoko. Te ręce widać już u krańca Zielnej. Tam w oknach, bramach, na barykadach wybucha radosny okrzyk mieszkańców. Ci ludzie nie rozkurczyli się jeszcze po dwudziestu dniach piwnicznej mordęgi. Na ubraniach noszą jeszcze ślady tynku i wapna. Dopiero te ręce... Te ręce spaliły kościół zamordowały księdza, ostrzeliwały przechodniów! — teraz trzęsą się w górze wysoko.

Wychodzą coraz nowi. Widać znajome znaki — trupie łebki gestapo, skręcone litery SS i żandarmskie plecionki.

— Poruczniku, ja dwa lata w Oświęcimiu, ja, ja...

— Wyście mi syna zamordowali, wy, wy...

Słychać głosy ludzi niewidzialnych, utopionych w tłumie, lecz poznawalnych po pięściach co się w górze trzęsą.

A z PASTY inni wychodzą żołnierze, czarni, zmęczeni, uwalani dymem, umorusani wodą, krwią — kochani. A już ręce dopadły najdroższej dla żołnierza zdobyczy — piwnice są pełne amunicji i broni.

I kiedy nikną już w oddali ostatnie, niesione wysoko ramiona jeńców, nowe podnoszą się ręce pod dobre, niedzielne niebo, ręce uzbrojone w nowe granaty i karabiny.

Panie kapitanie, panie komendancie! My powstańcy meldujemy ci posłusznie: Ulica Zielna — niepodległa!

23 sierpień 1944.

Zaprzysiężenie

Rekruci. Właściwie już nie są rekrutami, dawno przebyli swój bojowy chrzest. Teraz złożą tylko przysięgę i wejdą w skład armii. Tylko że koszary zastępuje tu niska, piwniczna izba, zamiast czworoboku kompanii pod bronią — prycze i ławki, na których przysiedli ranni i chorzy, zamiast pułkowego sztandaru — biało-czerwona flaga na ostruganym drzewcu.

Ksiądz kapelan na drewnianym taborecie odprawia Mszę. Musi dobrze się schylać, by nie uderzyć głową o osmoloną belkę pułapu. Przed księdzem na obrusie szklany kielich i mszał.

Jest coś niepojętego w tym stawaniu się rekruta żołnierzem w powstańczym domu, w tym stawaniu się chleba Ciałem i wina Krwią.

Nie grają wcale organy, tylko gra coś w piersiach rannej dziewczyny, która przykucła obok.

W oddali znowu rozbiegają się strzały, wtedy wszyscy klękają, a ksiądz unosi Hostię. W świetle flagi jest jakaś biało-czerwona.

Dzwonią za ścianą odłamki upadające na bruk.

Jeszcze słowa przysięgi na wierność i walkę. Nagrodą dla was — niepodległość kraju. Dzwonią mali żołnierzykowie — ministranci. Kończy się Msza — żołnierze repetują broń, wyrusza patrol.

Wychodzimy wraz z księdzem. Ostrożnie niesie swój szklany kielich i swoją powstańczą opaskę. Za rumowiskami znów płonie kościół.

25 sierpień 1944.

Stanisław Ziembicki

Jerzy Chram-Piórkowski

Kutschera

Lot nareszcie zdjął kapelusz. Wtedy serca podeszłe do gardła zaczęły znowu bić mocno i czysto. Wszyscy stali właściwie przy przystanku na rogu Alej Ujazdowskich i Piusa. Naprzeciw w parku nagie konary drzew wrastały w niebo tragiczne i męskie. Obłoki szły na zachód. Z nimi wiał oddech miasta co walczy. Na rogu Alej i Piusa stał jasny, niedbały stylowo budynek, mieszczący komendę żandarmerii. To miejsce na planie u kapitana zakreślone było czerwonym krzyżykiem. Stojący dziś na warcie żandarm miał kościste, wyraziste rysy twarzy i czerwoną naciągniętą skórę policzków. Chłopców to drażniło. Lot stał po drugiej stronie koło budki z papierosami. On to nareszcie dał upragniony znak.

Kruszynka stał wtedy z rękoma w kieszeniach, dwumetrowy czarny dryblas o typie lwowskiego lombrozza ze wspaniałym, filuternym uśmieszkiem na ustach. Za nim inni: Olbrzymek, Cichy i Juno. Na końcu biedny, uginający się pod ciężarem teki z granatami Ali. Nie dostarczono mu w ostatniej chwili Stena, pozostał grenadierem z musu. Ale gęba też śmiejąca się, do kogo?

Do słońca, drzew, wiatru?

Gdy Bronek Lot dawał znak, była dokładnie 9.15. Samochód z Misiem przy kierownicy wysunął się drapieżnie do przodu, przed swoich. Na przystanku Kruszynka wykręcił między dwoma esesowcami i wymachując wiosłami olbrzymich ramion, sunął ku miejscu akcji. Za nim reszta jeden po drugim, gęsiego.

W marszu rozpinali już płaszcze. Przecież dłonie tak palą...

Wtedy na asfalt Alej od ulicy Szopena wytrysnął wóz z Kutscherą. Szofer jechał aż przegięty nad kierownicą. Wyciągał 70—80 kilometrów na godzinę.

— Podły, lisi pysk — myśli Misio i naciska akcelerator. Wóz miękko toczy się pod gmach żandarmerii. Wóz Kutschery skręca ostro ku bramie gmachu.

Misio drwiąco się uśmiecha i naciska znów gaz. Wozy stają, jakby nie mogąc się dorozmawiać. Między nie wtryska sylwetka Lota. Pierwsza gdacząca seria po wozie Kutschery, pierwsze ogniste płomyki ze Stena, od których jaśnieje wzrok. Już pędzi olbrzymimi susami Kruszynka. Jak taran mija ogłupiałego wartownika. Biegnący tuż za nim Juno, pakuje mu serię w brzuch i rzuca zgiętego w bólu na chodnik. Ali z teczką jest tuż za nimi. Ale Kruszynka przerasta wszystkich. Żyje tylko nadzieją na śmierć tamtego.

Jeszcze tylko jeden olbrzymi krok przez jezdnię, jeszcze jeden...

Drzwiczki wozu wylatują z hukiem, z stopień wyskakuje adiutant Kutsc... z dymiącym pistoletem. Nareszcie...

cel. Kruszynka biegnąc, naciska spust. Sten bucha płomieniami wystrzałów. Oficer gestapo na moment zastyga, a potem z obłąkanym wyciem wali się na asfalt.

Ale już nad chłopcami otworzyło się piekło. Niemcy ochłonęli z zaskoczenia. Budynek żandarmerii zapłonął ognikami wystrzałów. Potem anemicznie usiłują atakować, aby nie dopuścić do rozwoju akcji. Juno z gorącym Stenem krótkimi gwałtownymi seriami likwiduje ich. Okna jednak strzelają coraz zajadlej.

Chłopcy walczą w ognistej ulewie. Zaczyna być źle. Lot z męką na twarzy, ciężko ranny w brzuch, wycofuje się. Ali zdeterminowany biegnie za Lotem, bierze na ręce mdlejącego, a potem zataczając się, niesie go dalej.

Cichy dostaje w brzuch, Olbrzymek w płuco. Pada na asfalt, na moment mdleje.

O czym myśli ten chłopiec, gdy obłąkańczym wysiłkiem podnosi opadłe powieki i wpół leżąc wpółklęcząc, znów strzela?

Ale już Kruszynka dobiera się do Kutschery. Jeszcze jeden wspaniały sus, krótka seria ze Stena, a potem z głębi wozu wyziera wijąca się w szaleńczej trwodze sylwetka esesowskiego generała. Trzęsie się jak w febrze, zakrywając twarz obiema rękoma. Przez serce Kruszynki płynie teraz tylko pogarda dla tego zielonego zbója, który nie potrafi umrzeć jak mężczyzna.

Nienawiść znów wzbiera i spada jak lawina. Naciska spust. Sten huczy jak oszalały. Kutschera jest teraz tylko kupą mięsa.

Z boku wyrasta Miś.

— Jeszcze Kruszynka, jeszcze, krzyczy złym głosem.

Znów dym.

Teraz Kruszynka chwyta trupa Kutschery i całą siłą wyrzuca go z szoferki na asfalt. Z flegmą i metodycznie rewiduje kieszenie. A strzały huczą.

Cichy zgięty, z dłońmi we krwi wlecze się ku stojącym na rogu Szopena samochodom. Juno klnie i płacze naprzemian, patrząc na jego bladą jak papier twarz.

Teraz broń chłopców niemal zupełnie milczy, a ten przeklęty nieustający ani na chwilę strumień stali — to Niemcy.

Kieszenie generała są puste. Nagle Miś zatacza się i krzycząc przenikliwie, z twarzą zalaną krwią, pędzi ku autom.

Teraz dopiero z nad trupa generała podnosi się Kruszynka. Ma ciężkie, jakby skostniałe ruchy człowieka, który wie, iż swoje zrobił.

Obmacuje ulicę wzrokiem. Jest. Omdlały Olbrzymek ze Stenem i rękoma czerwonymi od własnej krwi. Bierze go pod pachę. Wszędzie mokro. Olbrzymek przytomnieje. Kruszynka bije raz przy razie, a sam ledwo widoczny zza płomieni wystrzałów i dymu krzyczy w ulicę:

— Gotowe!

Gotowe... Boli. Olbrzymek uśmiechnąć się nie może, ale kule się śmieją, nie?

Pędzą do aut. Tam już huczą motory. Juno ubezpiecza i raz po razie krótkimi seriami oczyszcza wyloty ulic.

Sokół, szofer „Opla Kapitana" na kilka sekund przed przybyciem chłopców cisnął filipinkę w tłum esesowców przed niemieckim kasynem. Dym, płomień i jęki.

Chłopcy wpadli szczęśliwie w obłok wybuchu granatu. Ładują się kolejno: Kruszynka z Alim do Mercedesu Brunona, do „Opla" wczołguje się Olbrzymek, Cichy i Miś, oraz Juno, cudem nietknięty. Przy szoferze Lot z kulą w żołądku i w wątrobie. Motory wyją. Z tyłu gonią ich kule. Bezsilne.

I teraz rozpoczyna się wielki i ostatni bieg „Opla Kapitana". 4-ch ciężko rannych, Sokoła i Juna.

Pierwszy etap — Szpital Maltański. Lota i Cichego nie chcą przyjąć. Tłumaczą się, iż nie są przygotowani na przyjęcie z postrzałami brzucha. Z za odmowy wyziera strach.

Opel znów wyje po ulicach. Z za mostu wypada pasmo zieleni. Pisk gum. Szpital Przemienienia Pańskiego.

Wnoszą szybko Cichego i Lota, zawiadamiają lekarza.

Z powrotem. Znów most.

Raptem serca skoczyły do gardła. Nawprost korkował przejazd sznur aut żandarmerii. Już padają pierwsze błyski strzałów. Sokół chce skręcić. Naprożno, wóz zawadza maską i osiada.

— To śmierć... Wiedzą o tym dobrze, niezachwianie, a jednak...

Poraz ostatni huczy w ręku broń. Wyskakują z auta. Juno ma jasną kobiecą twarz i szeroko rozwarte oczy przestraszonego dziecka.

Pierwszy rzuca granat. Niemcy odskakują do tyłu.

Ale ogniki strzałów idą coraz liczniejsze, szersze, obejmują ich w ognisty, nieubłagany krąg, obejmują niebo, Wisłę i ziemię.

To śmierć. Juno uśmiechnięty przerzuca nogę przez balustradę mostu. Na ustach i na policzkach ma już cienie zmierzchu.

Potem tam w dole były dwa wytryski wody, potem dwie głowy, a potem jedna śmierć.

Po niebie wiatr pędził chmury na zachód.

Przechodzący ludzie mówili, mając twarze ostre i blade:

„Wieczny odpoczynek racz im dać Panie"...

Ptaki latały nisko, na deszcz.

Jerzy Chram-Piórkowski

Ostrze na ostrze

KOMENTARZ.

Za Kurierem Codziennym podajemy notatkę następującej treści:

„W związku z napadem na schronisko żydowskie w Kielcach, jak podaje Dziennik Powszechny — delegacja Żydowskiego Zrzeszenia Religijnego udała się do Biskupa Kieleckiego Ks. dr. Kaczmarka.

Ks. Biskup przyjął delegację na godzinnej audiencji i w bardzo życzliwej rozmowie wyraził ubolewanie nad losem jaki spotkał Żydów w obecnej wojnie. Nadmienił przy tym, że odprawia modły za życie Żydów, którzy zdołali się uratować".

Kończąc audiencję, w czasie której Ks. Biskup Kaczmarek obiecał czynnie poprzeć sprawę bezpieczeństwa ludności żydowskiej, Ks. Biskup stwierdził: „pogwałcenie podstawowych zasad chrześcijaństwa, wyrażonych w przykazaniu o miłości bliźniego i w przykazaniu „nie zabijaj" — jest najgroźniejsze dla chrześcijaństwa i losów narodu".

Notatka ta, która pojawiła się w pismach, których nie można pomawiać o „propagandę klerykalną", jest jedyną odpowiedzią, jaką Kościół może dać coraz to nowym atakom, pomawiającym katolicyzm polski o szerzenie nienawiści do Żydów. Z drugiej jednak strony jest niezbitym dowodem, że tylko przy uczciwym i pełnym zaufania stosunku do Kościoła ze strony środowisk niekatolickich, rysuje się w całej pełni pozytywna praca, którą katolicyzm na tym odcinku stale prowadzi.

w. k.

OTWORZYĆ PRZYŁBICĘ.

Oto w Dzienniku Ludowym pod kryptonimem „Obywatel Kapłan" ktoś zabrał głos, wysuwając w praktyce, jeśli nie w teorii, hasło zerwania katolicyzmu polskiego z Watykanem. Jakkolwiek ubrane w szatę najbardziej obiektywnej wypowiedzi, jakkolwiek otoczone dyplomatycznymi frazesami, jakie się w Dzienniku Ludowym pod adresem Watykanu i katolicyzmu rzadko pojawiają, był to jednak atak na związek Kościoła w Polsce ze Stolicą Apostolską. Nikt bowiem nigdy nie wysuwał tezy, by odjąć Namiestnikowi Chrystusowemu prawo mianowania biskupów, prawo wyznaczania nuncjuszów. Nikt bowiem, kto jest katolikiem do tej pory nie przeciwstawiał „Kościoła Krajowego rzymskiej racji stanu". Ów „Obywatel Kapłan" kończy swoje wywody hasłem „Żądamy zdemokratyzowania rządów kościelnych".

Stwierdzamy, że wypowiedź tego rodzaju wydawać się może katolikom tylko obelgą. Nie wierzymy, by słowa te napisał katolik. Nie wierzymy, by słowa te mógł napisać kapłan. Nie wierzymy, by w jakichkolwiek bądź intencjach mógł uczciwy katolik wypowiedzieć tego rodzaju zdanie.

Żądamy otwarcia przyłbicy. Jeśli jest taki katolik i taki kapłan i jeśli faktycznie tak jak on twierdzi „pragnie przewodnictwa i opieki Ojca Świętego", niech wystąpi bodaj że na łamach tego samego pisma z pełnym imieniem i nazwiskiem i adresem. Będziemy wówczas wiedzieli kogo potępiać.

Do tej chwili jednak stwierdzamy to głośno — nie wierzymy!

w.

BIGOS HISTORYCZNY.

Wiemy o istnieniu wielu szkół historycznych. Wiemy, że marksizm stworzył własną historiozofię zw. „materializmem dziejowym". Jakkolwiek każde jednostronne spojrzenie na historię zawiera w sobie zarodek błędów, z ciekawością śledziliśmy dotychczasowy rozwój tego nowego kierunku. Bądź co bądź światło rzucone na dzieje z punktu widzenia materialistycznego mogło by też uwypuklić wiele nowych i ciekawych zjawisk.

Aż tu w Kuźnicy Nr. 13 (feralna liczba) — przeczytaliśmy artykuł Witolda Kuli „Z Dziejów bankructw emigracyjnych". Temat ciekawy, możnaby nawet powiedzieć — porywający. Autor, uzbrojony w materializm historyczny, próbuje obalić mit wielkiej i zbawczej roli emigracji w walce o niepodległość Polski. Wybór problemu ciekawy — należałoby obiektywnie życzyć autorowi powodzenia. Po przeczytaniu paru zdań czytelnika jednak ogarnia zniechęcenie. Nic nowego. Problematyka ogranicza się li tylko do jednego twierdzenia: tu panowała reakcja, tam wdarła się reakcja, owo zdradziła reakcja.

Ograniczenie ciekawego bądź co bądź problemu do analizy jednego tylko zjawiska kładzie z miejsca całą pracę. Tymbardziej, że autor w sposób wybitnie niefortunny próbuje przenieść na czasy historyczne nowoczesną nomenklaturę polityczno-partyjną.

Np.: czy kto z panów historyków (bez cudzysłowu) wiedział, że w Polsce w okresie między drugim a trzecim rozbiorem rządził naprzemian „Centrolew", „Centropraw". Konia z rzędem temu, kto się w tej terminologii rozezna. Spróbujmy jednak przeanalizować to genialne pana — kulowe odkrycie. Jak wiadomo w Polsce pod koniec XVIII wieku toczyła się zacięta walka pomiędzy demokratami a reakcją. Na czele narodu stała koalicja demokratyczna zwana „Centrolewem". Wybitnymi jej przedstawicielami byli, od lewej do prawej obywatele Hugo Kołłątaj, Zajączek, Kościuszko, Dąbrowski, Naruszewicz, Niemcewicz.

Reakcja jednak, broniąc swych kapitalistycznych interesów, w porozumieniu z reakcyjnymi rządami innych mocarstw, szykuje klęski własnemu narodowi. Na czele reakcji w Polsce stali: Książę Szczęsny Potocki, Hrabiowie Rzewuscy i Poninscy. Oni to, pociągnąwszy za sobą nieuświadomioną część społeczeństwa, stworzyli „Centropraw". No już zrozumiano, prawda?

Spróbujmy się zastanowić co z tego wyniknie. Lewica w tym czasie t. zn. ugrupowania demokratyczne, hołdowały zasadom silnej władzy. Poprostu popierały w Polsce idee zcentralizowanej dziedzicznej monarchii. Kto temu nie wierzy, niech przeczyta pisma Naruszewicza, albo też poprostu dzieło „Centrolewu". Konstytucję 3 Maja. Zastanawiające?

A teraz o reakcji. Wielhorski, jeden z czołowych pisarzy obozu reakcyjnego jest zasadniczym rzecznikiem tez demokratyczno ustrojowych. Analizując przeszłość historyczną, podkreśla on zupełnie wyraźnie, że jedyna forma ustrojowa, w której naród Polski żyć chce i potrafi, to jest ustrój republikański. Osoba króla w tym ustroju nie jest niczym więcej, niż osobą prezydenta w ustrojach współczesnych. Skąd inąd, z obowiązku czysto dziennikarskiego zaznaczyć należy, że przywódcy obozu reakcyjnego byli nie tylko wyznawcami, ale i osobistymi przyjaciółmi znanego na zachodzie filozofa Rousseau. To też jest powszechnie wiadomym, że stronnictwo „reakcyjne" powszechnie było nazywane stronnictwem republikańskim.

Zestawienie poglądów „prawicy" i „lewicy" z końca XVIII wieku w Polsce musi więc budzić chyba pewną ilość zastrzeżeń. Ale idźmy dalej.

W pierwszej połowie XIX wieku, po klęskach rozbiorowych, po rozczarowaniach napoleońskich, zaczyna się napowrót odbudowywać myśl demokratyczna „lewicowa". Jak wiadomo, czołowym pisarzem a zarazem przywódcą polskiej „lewicy" był Joachim Lelewel. Jednak bliższe zapoznanie się z jego poglądami musi w uczciwym demokracie epoki dzisiejszej wzbudzić nową falę wątpliwości. Czy jednak w przekonaniach Lelewela nie kryje się reakcyjność? Okazuje się bowiem, że poglądy Lelewela na zasadnicze zagadnienia zarówno historyczne, jak i ustrojowe, zbiegają się całkowicie z poglądami wyżej wymienionego „reakcyjnego" pisarza Wielhorskiego. Po prostu Lelewel stanowi przedłużenie myśli politycznej i ustrojowej „Centroprawu".

Żeby już pogrążyć całkowicie historiozofię pana Witolda Kuli dodajmy jeszcze, że poglądy t. zw. szkoły krakowskiej, reprezentowanej przez tego rozmiaru „reakcjonistów" co Kalinka, Bobrzyński, co emigracyjne środowisko Hotelu Lambert stanowią zwyczajne przedłużenie i nawiązanie do koncepcji politycznych pana Kulowego „Centrolewu" z epoki Stanisława Augusta.

Powiedzmy więc sobie szczerze: operowanie na przestrzeni dwóch wieków wstecz pojęciami wytworzonymi przez parlamentaryzm, jest nonsensem. Służy wyłącznie do zaciemniania rysowanego obrazu przeszłości. Doskonale wiemy, że reakcyjność jest zjawiskiem historycznym i ciągnie się chyba od czasów Kaina i Abla (lecz który z nich dwóch był reakcjonistą?). Jeśli jednak nie chcemy całkowicie ośmieszyć pojęć zasadniczych, jakimi są postępowość i wstecznictwo, demokracja i reakcja, to przestańmy używać je jako nic nie znaczące frazesy.

Jeśli już materializm historyczny ma być metodą naukową, jak dowodzi tego na łamach „Kuźnicy" pan Żółkiewski, to przestańmy pisywać artykuły historyczne w gatunku wyżej cytowanego.

(k)

Reflektorem po kulturze

Katastrofizm odwrócony

Pogardliwą nieco nazwę „katastrofizmu" nadano kierunkowi poetyckiemu, który swoją intensywność emocjonalną czerpał z przeczuć zbliżającej się katastrofy wojennej, żył niejako w jej cieniu. Lecz dziś, po wojnie, istnieje i nawet lansowany jest innego rodzaju katastrofizm — upatrujący źródeł swej intensywności w katastrofie, która minęła, w wojnie, którą mamy za sobą. Ten katastrofizm „a rebours" jest zrozumiały: trudno wymagać od pisarzy i poetów, skupiających w sobie wrażliwość narodu, aby szybko przeszli do porządku nad straszliwymi, tragicznymi i heroicznymi wydarzeniami, które wtargnęły w normalne życie przeciętnego Polaka, przeistaczając je na parę lat w okres przeżyć czasami — w zestawieniu z życiem przedwojennym — wprost niewiarogodnego, chorobliwego napięcia. Lecz jednocześnie zastanowić się trzeba, czy — choć nieunikniony — ów odwrócony katastrofizm jest zjawiskiem w życiu kulturalnym narodu pożądanym i zdrowym, czy należy go — jak chcą niektórzy — lansować i propagować, czy też przeciwnie — leczyć się z niego. Sądzę, że raczej to drugie.

Wojna, a w każdym razie taka forma wojny, jaką przeżyliśmy, jest chorobą ludzkości: niesie za sobą rozkład wszelkich wartości etycznych, które normalnie uważamy za nienaruszalne, niesie za sobą zniszczenie wszelkich ideałów życia twórczego i harmonijnego, niesie ze sobą trupi odór chaosu i przypadkowości. Jedyną cnotą, jaką nam za to wszystko przynosi jest bohaterstwo, heroizm, poświęcenie siebie; lecz musimy zadać sobie pytanie, czy po pierwsze cnoty te w obecnej formie wojny masowej i totalnej nie schodzą na plan dalszy, po drugie zaś czy nie graniczą one z samozaparciem, będącym w istocie formą odczłowieczenia człowieka. Człowiek, który przezwyciężyć musi swoją naturę, swoją wrażliwość, swoje instynkty samozachowawcze, a przytym — swoje skrupuły, pomimo całego bohaterstwa bojowego nie może budzić w nas owego „humanistycznego" szacunku, jaki budzić powinien. Człowiek — bohater współczesnej wojny ma rozwinięte pewne tylko władze psychiczne — kosztem innych — daleko mu do pełnego, wszechstronnego rozwoju, który cechować winien istotę, stworzoną na obraz i podobieństwo Boga. Ideał bohatera wojennego uzbyt trąci dziś faszystowskim totalizmem, wychowującym ludzi — automaty, ludzi niewrażliwych, bezlitosnych dla siebie i dla innych. Kultura chrześcijańska, która głosi szacunek dla człowieka i człowieczeństwa (jedyny to prawdziwy, wbrew mętnym tego słowa interpretacjom, humanizm) — nie akcepto-

wać ideału, w myśl którego człowiek winien stłumić swoją świadomość moralną i stać się ślepym narzędziem celów, nie dających mu się często poznać, objąć ani skontrolować.

Dlatego też trujący powiew totalizmu, który pozostał i unosi się ze zgliszcz i pobojowisk ostatniej wojny powinien zostać unieszkodliwiony, dlatego naczelnym dążeniem ludzi niezgangrenowanych wojną winno być w dniu dzisiejszym dążenie do prawdziwej, przez chrześcijański humanizm i chrześcijańską etykę wskazywanej demokracji i wolności. Lecz wskazań, jak dążyć trzeba do tego celu, nie znajdziemy w mrocznych dziejach ubiegłej wojny, wojny, która w osobie Niemców zrównała patriotów ze zbrodniarzami a bohaterów z mordercami.

Wojna ta dać nam może tylko jedną, jakże niebezpieczną naukę: że gwałt odciska się — tylko gwałtem. Ta nauka nie przyniesie nam odrodzenia moralnego, nie przyniesie oswobodzenia psychicznego — ta nauka może nas tylko zatruć — tak jak propaganda rewanżu zatruła Niemców. Drogi szukać należy gdzieindziej: w odwróceniu się od dziejów zbrodni i obłędu a zwróceniu do spraw ducha niepodległego, bogatego i harmonijnego — do nowego humanizmu.

Tę drogę wskazuje instynkt nie tylko nam: wiele wiadomości z zagranicy potwierdza fakt, że we Francji, Anglii i Ameryce panuje przesyt wojną jako treścią, tematem czy problemem sztuki i życia kulturalnego, którego widomymi uzewnętrznieniami są: literatura, teatr, kino, radio. We Francji kontynuuje się rozwój literackich problemów przedwojennych, rozpięty ponad przepaścią wojny, jakby jej nie było; w Anglii ludzie nie chcą chodzić na filmy wojenne, powieści o tematyce wojennej ukazuje się niewiele, poezja zlekceważyła wojnę, wojnę uważa się za nudną i jałową. Często u nas rozmaici publicyści przytaczając te fakty załamują nad nimi ręce z gestem niedorzecznego oburzenia. Nie rozumieją, że zdrowy instynkt moralny tych krajów demokracji każe im oswobodzić swoją psychikę od obrazów nieludzkiej grozy, panującej w okresie upadku człowieczeństwa, jakim była wojna. Wojna jako przedmiot dzieła sztuki jest możliwa i pożądana — ale wtedy, gdy spojrzymy na nią z perspektywy czasu, gdy wydarzenia jej przestaną być przeżyciami, z którymi jesteśmy związani jakąś patologiczną wspólnością, a staną się czymś, na co będziemy mogli spojrzeć oczyma człowieka wolnego, niezależnego i obiektywnego. Targanie dziś wrażliwością czytelnika za pomocą obrazów niedawnej, przez nas wszystkich przeżywanej grozy to tylko efekt sadystyczny czy masochistyczny: takie wrażenie robi np. drukowana niedawno w „Odrodzeniu" wstrząsająca nowela Jerzego Andrzejewskiego „Przed sądem".

Nowela ta, to wyraz psychiki autora, nie umiejącego oderwać się od zgnilizny i niewoli i wskazać drogę — w wolność. Myśl jego z nekrofilską pożądliwością powraca do tematów pohańbienia, okrucieństwa, brutalności — linia ta przebiega zresztą przez całą jego twórczość — od „Dróg nieuniknionych" poczynając. To nie jest tragizm — to kalectwo, obsesja psychiczna. Nowela „Przed sądem" jest wstrząsająca — lecz wstrząsająca tak, jak wstrząśnie nami wypadek samochodowy, rozgrywający się na naszych oczach. Wstrząśnie, lecz nic nie wyjaśni, nie wskaże, o niczym nie przekona, niczego nie nauczy — poza tym, że trzeba zamknąć oczy i nie patrzeć.

To jest „Greuel-literatura", dokumentująca tylko zależność psychiczną od gwałtu, przemocy, terroru. Tymczasem właśnie narodowi polskiemu, który w ciągu swej historii zniósł najwięcej chyba z europejskich narodów gwałtu i przemocy, potrzeba literatury, dokumentującej jego wolność, jego niezależność psychiczną od swych krwawych i upokarzających dziejów. Nie cierpiętniczej literatury mesjanistycznej, nie patologiczno-sadystycznego realizmu „Dziejów grzechu" czy „Urody życia" — lecz właśnie humanistycznej, wszechstronnej a zarazem harmonijnej i czystej literatury narodu europejskiego i chrześcijańskiego.

Przekleństwem naszym była zawsze walka z gwałtem, która odwracała nas od spraw ducha i kultury, która nas zatruwała. Dziś, po straszliwej, krwawej kąpieli okupacyjnej i wojennej, gdy nad światem — wydaje się — wschodzi jutrznia pokoju, a na niebie Europy, wypisane widnieje ognistymi literami wielkie słowo: demokracja, musimy wreszcie odrodzić nasz prawdziwy, niezafałszowany przez pogrobowców totalizmu — humanizm, stworzyć sztukę narodową, będącą zarazem sztuką wielką i ogólnoludzką. W tym jedyna nadzieja, że zajmiemy miejsce pomiędzy narodami świata, zachowując jednocześnie swoją odrębność i niezależność, w tym jedyna droga do prawdziwej wolności. Inaczej — zginiemy.

Stefan Kisielewski

Paweł Ciepliński

NIEDYSKRECJE LITERACKIE

Ucichła już na szczęście dyskusja o realiźmie w literaturze, nikogo, jak się zdaje, nie przekonawszy. Przeciwnicy bowiem z tak odmiennych stanowisk wychodzili i tak inaczej pojmowali ten realizm, że właściwie jakiekolwiek dogadanie się było z góry niemożliwe. Pozostały więc tylko głuche wypowiedzi: patetyczne wołanie Brandysa o nowy realizm, świetny artykuł E. Jastrzębia w „Życiu Literackim" p. t. „W sprawie realizmu" oraz ciekawa rozprawka K. Wyki w „Twórczości" p. t. „Tragiczność, drwina i realizm".

Rozprawka Wyki zasługuje na baczną uwagę, jak zresztą wszystko, co pisze ten inteligentny pisarz. Wyka patrzy na realizm w sztuce od strony najciekawszej, bo od strony przyczyn psychologicznych tworzenia się tego realizmu. Nie wystarcza mu znaczenie, jakie się przywiązuje w tej chwili do materializmu historycznego, aby stąd wywodzić prosto i koniecznie postulat realizmu w sztuce. Stwierdza: „Zamiar realistyczny, obok pobudek ubocznych, wypływać może z dwóch przeciwnych źródeł: z nienawiści albo z miłości. Albo z takiego odepchnięcia świata, że trzeba w nim ukazać wszystko ostro i brutalnie, bez osłonek idealizujących i upiększających, albo z takiego umiłowania czy szacunku, że każdy drobiazg staje się doniosły... Realizm posiada dwa główne łożyska i pierwsze z nich kończy się w satyrze, drugie w epopei.

Stanowisko jest bardzo ciekawe. Odnalezienie w naszej literaturze dwóch nurtów — czy też dwóch postaw: tragicznej i drwiącej nie jest wprawdzie odkryciem nowym. Słyszałem tę samą tezę — nawet z zestawieniem tych samych par nazwisk: Miłosz — Gałczyński i Gombrowicz — Andrzejewski — „eszcze w czasie konspiracji, raz w essayu J. Walldorfa (w r. 1941) drugi raz w bardzo ciężkim, choć mimo to w bardzo ciekawym, referacie wygłoszonym przed Chałasińskim i przede mną przez Andrzeja Trzebińskiego (w r. 1942). Obecnie — jak konkluduje Wyka — nadszedł czas, aby maski tragiczności i drwiny opadły z naszej twarzy. Z ich posiewu „kiełkuje zwolna realizm, ten, na jaki nas stać".

Wielka racja: „na jaki nas stać". Bo po ostatnich wypowiedziach, od których się trzęsły szpalty pism, wydawać by się mogło, że jesteśmy w obliczu prawdziwego, wielkiego realizmu, wkraczającego już w życie. Tymczasem wielkiego i prawdziwego realizmu nie widać. I nawet tego „na jaki nas stać" mało widać; wogóle nic prawie nie widać.

Przede wszystkim symboliczna czwórka: Gałczyński siedział w Lamsdorfie, gdzie napisał trochę wierszy i sztukę teatralną, którą wysłał na konkurs sztuk, powstałych w obozach jenieckich, do Szwajcarii. Czekamy, kiedy go nam Zagórski do kraju przywiezie. Gombrowicz zniknął z horyzontu — nie wiem co się z nim dzieje. Miłosz robi wrażenie błękitnego ptaka i z lekkomyślnym uśmiechem na ustach powiada, że nic nie robi — w rzeczywistości pracuje jak wściekły. Odwrotnie Andrzejewski — ten chodzi z miną przemęczonego pracą, a jak się zdaje, nie robi nic. Jego dorobek wojenny — poza synem — składa się z bardzo niedokończonej powieści w trzech tomach (napisane są trzy rozdziały) i dwóch chyba nowel. Chciałoby się w tym miejscu uronić łzę... Zdaje mi się jednak, że ani Miłosza ani Gałczyńskiego do realistów zaliczyć nie można.

Realistą — choć tylko takim „na jaki go stać" — jest niewątpliwie Iwaszkiewicz. Po nieudanych „Pasjach Błędomirskich", Iwaszkiewicz — na szczęście — powraca od powieści, która jest dla jego typu twórczości czymś za długim — do opowiadania. „Porwanie Prozerpiny" jest pierwszorzędnym utworem na conradowską nutę. Jeszcze lepszą nowelą — choć właściwie, czy to można nazwać nowelą? — jest „Stara cegielnia" (drukowana w „Twórczości", a obecnie przerabiana na scenę).

Realizm Iwaszkiewicza jest nadal realizmem psychologizującym. Nie jest on niewątpliwie — pomimo pewnych podobieństw — realizmem „obiektywnego szacunku", którego klimat rodzi — zdaniem Wyki — epopeę. Jeśli można sobie pozwolić na pewną dowolność terminów, to nazwałbym go realizmem impresjonistycznym, nam się bowiem wszystkim wydaje, że to jest realizm. Iwaszkiewicz stwarza złudę świata, bardzo muzykalną złudę, która bierze swoją harmonia. O krok od niej leży jednak bajka, której nawet nie przeraża brutalność pewnych przejawów życia.

Najbliższą realizmowi „obiektywnego szacunku" — jej „Noce i dnie" są najbliższe epopei — jest Maria Dąbrowska. Realizm jednak jej ostatniego utworu „Bogumił i Stanisław" budzi wątpliwość swoją czystością. Tu znowu widać coś niby maskę drwiny — zresztą może z konieczności: utwór powstawał w dniach konspiracji.

Gebethner i Wolff w Krakowie wystąpił z sensacją — z powieścią historyczną „Dzikowy skarb" K. Bunsche. Autor nieznany. Św. Wojciech szykuje jeszcze większą niespodziankę: wielką powieść historyczną Jana Władysława Grabskiego („Czytelnik" nie chciał być w tyle, więc wydał wreszcie „Kratę" Gojawiczyńskiej). O tych trzech książkach zaznaczam tylko na marginesie. Czekamy na egzemplarze recenzyjne. O ile można się jednak już dziś zorientować w sytuacji, ani pierwsza ani druga powieść nie wykracza poza ramy sienkiewiczowsko-kossakowskiego realizmu. Jest to realizm, ciągle używając słownika Wyki: — „na okrajach szlachetczyzny". Realizm zresztą niewątpliwy. Tylko że głosy mówiące o nowym realiźmie wołały o taki realizm, który by nie żył tęsknotą do przeszłości i nie był symboliką teraźniejszości w duchu satyry. Tymczasem obie powieści należą raczej do kręgu utworów protestujących przeciwko teraźniejszości.

Nie należy tego zapisywać na ich minus. Powieść wyrasta z podłoża przeżyć dobrze już w nas ugruntowanych. Tylko teoretyk, nieartysta może mieć żal do pisarzy, że swych pism nie napompowali entuzjazmem chwili. Zwłaszcza u nas, gdy od chwili napisania książki do czasu jej wydania upływa zwykle — parę lat...

Wspomniałem Kossak-Szczucką. Autorka „Krzyżowców" wyjechała do Ameryki, gdzie niesłabnącym powodzeniem cieszy się jej powieść „Bez oręża". Tak samo zresztą w Anglii, Szwecji, Norwegii. Mówi się zagranicą o wielkich możliwościach otrzymania przez Kossak-Szczucką nagrody Nobla za tę właśnie powieść. Wspomnienie Zofii Kossak z pobytu w Oświęcimiu, może nie na miarę jej talentu, ale w każdym razie mocne i ciekawe, drukuje w odcinku pod wstydliwym szyldem „Z. K." częstochowska „Niedziela".

Nie, realizmu nowego jeszcze nie widać. I wydaje mi się, że wołanie o niego na nic się nie zda. Wielkość chwili trzeba poczuć w sobie. Do tego jednak nie wystarczy, jeśli chodzi o artystę, propaganda. Artysta musi wyrzucać z siebie wszystkie myśli sześciu lat przymusowego milczenia. Tak jest i na to nie ma rady.

Czy realistyczne są fragmenty, które czytamy w „Twórczości" — realistyczne w sensie rozwoju realizmu? Nie. Nic podobnego! A już psychologizowanie — niemal „ferdydurkizm" — herolda realizmu, Brandysa („Drewniany koń") czy przeznakowany fragment (zresztą, jak wieść niesie, doskonałej powieści „Jezioro Bodeńskie") Dygata budzą duże zastrzeżenia.

Z drugiej strony lepsze jest to „strząsanie z siebie" przeszłości, niż wchodzenie obu nogami w nowy realizm tematycznie, bez związku — niestety — z samą sztuką, jak to ma miejsce u Flory Bieńkowskiej (iluż jest wreszcie tych Bieńkowskich?!). Jej „Wiosna 1944" powinna się — na cześć Ważyka, aby się jeszcze więcej upodobnić do jego sztuki — nazywać „W papierowym dworze". W sztuce Bieńkowskiej jest wszystko — poza prawdą artystyczną i poza żywym człowiekiem. Sztuka jest propagandą i to nieprzekonywującą propagandą. Mówiło się niedawno o tym, że nie należy pisać wierszami sloganów urzędowych. Dodajmy do tego — nie piszmy dramatami elaboratów politycznych! Nie wychodzą a papieru jest mało...

Tak — realizmu nowego jeszcze nie ma. Ja osobiście nad tym nie płaczę. Wierzę, że powstanie on wtedy, gdy wielkość rzeczywistości sięgnie aż do dna uczuć artysty. Do tego czasu musi działać publicystyka.

Paweł Ciepliński

Listy z Krakowa

Myślę sobie — jaki by się wydał Kraków komuś, kto widział w życiu dużo miast i ludów — a przyjechał tutaj nieuprzedzony, nieuświadomiony, nieprzygotowany: tabula rasa. A przy tym bystry i wrażliwy: sejsmograf.

Chcąc opowiedzieć o tym, jak wygląda Kraków, trzebaby umieć „zobiektywizować wydźwięk rzeczywistości poznawalnej" — jak piszą spece od realizmu... Czyli, mówiąc po ludzku, trzebaby spojrzeć z boku na ten światek, który od paru miesięcy oglądam od środka. Dlatego brak mi spewnością perspektywy.

Ale poco zaraz mówić o perspektywie! Wprawdzie różne grupki intelektualne szeregują sobie zagadnienia „w amfiladę". Uzyskują w ten sposób wrażenie pewnej głębi. Ale żeby tak odrazu: perspektywa...?

Nastrój jest kameralny. Przytulny. To nie są złośliwości. Taka atmosfera też jest potrzebna, więcej: konieczna, aby pewne wartości kulturalne mogły spokojnie, prawidłowo rozwinąć się i dojrzeć. Jednak pośmiać się nie zawadzi, śmiechem kameralnym, w gronie dobrych znajomych. Jest ich niewielu (Kraków — miasto małe), ale spójrzcie, jak się dwoją i troją!

Znany krytyk zagaja, znany krytyk wykłada, znany krytyk redaguje, znany krytyk wygłasza słowo wstępne, znany krytyk nawet pisze! Ach, iluż to znanymi krytykami cieszy się dobry Kraków? pomyślisz, czytelniku. Nie, kochany: to wszystko jeden i ten sam znany krytyk.

Kiedy już mowa o pisaniu: jakież znajome, swojskie kameleony biegają po tej szlachetnej gałęzi ludzkiej twórczości! Identyfikujemy je bez trudności dzięki znakom szczególnym. Naprzykład: płytka recenzja — podpisał jac., płaskie dowcipy — podpisał Jacek, płytki i płaski artykuł wstępny — podpisał Fr. Wynik: „Dziennik Polski" — redaguje Jacek Frühling.

Przejdźmy teraz na inny brzeg. Taki — naprzykład — Kisiel. Ten, który usiłuje bezskutecznie postawić Kotta i sp. (z nieograniczoną nieodpowiedzialnością) na cztery łapy. Byłżeby to autor ostatniego artykułu politycznego w „Tygodniku Powszechnym"? A może z pod tego samego pióra wyszła humoreska w „Przekroju"? A kto jest w zarządzie „Czytelnika"? Przecie już chyba nie on napisał tę recenzję muzyczną? Ależ tak, i na dobitek jeszcze kwartet smyczkowy!! O, renesansowy Krakowie...

Może jednak tak jest wszędzie? Ostatecznie — w każdej dziedzinie „ruch" robi zawsze pewna drobna grupka; ludzi naprawdę czynnych jest tak mało! Co jest istotne — to oddźwięk, jaki znajduje ta grupka wśród masy biernych konsumentów. Zdaje mi się, że w Krakowie zainteresowanie dla spraw kulturalnych jest duże. Może, mimo nawału codziennych trosk, ludzie mają więcej czasu, niż w innych miastach? Może płyną jeszcze resztki dawnych prądów, które wciągały całe niemal tutejsze społeczeństwo w orbitę spraw nie tylko materialnych?

Na odczytach i referatach uśmiechają się do siebie życzliwie lub zgryźliwie ciągle te same, niezbyt liczne twarze. Ale gazety czytają wszyscy. Kioski tłoczą się poprostu na trotuarach. Prócz tego na każdym rogu dybią, przy swoich kramikach, sprzedawcy „statyczni". Sprzedawcy „dynamiczni" latają z wielkim wrzaskiem po ulicach, docierają wszędzie pierwsi i zdzierają za to podwójną cenę. Gazet — mnóstwo. Z Krakowa, ze Śląska, z Warszawy. Klasyfikacja według stopnia poczytności wyglądałaby chyba tak: wszyscy czytają „Dziennik Polski" i „Tygodnik Powszechny". Bardzo wielu — „Przekrój" i „Piasta". Dosyć wielu czyta „Odrodzenie". Niektórzy kupują „Kuźnicę": „żeby zobaczyć, co tam Łódź pisze". Drogi miesięcznik „Twórczość" przechodzi z rąk do rąk, systemem pożyczkowym. Reszta prasy rozchodzi się zapewne w szczupłym gronie specjalistów (?), albo jako płatne dodatki do bardziej pokupnych gazet. Jednak niektóre z tych ostatnich też przeżywają czasem bolesną zniżkę popytu. Zdarzyło mi się raz, że dobrotliwy inwalida z kiosku obligował mnie do kupienia „Odrodzenia" jako dodatku do... „Tygodnika Powszechnego"! Żachnąłem się i kupiłem każde osobno, t. j. każde z dobrej woli. Bo jednak — Brandys jako dodatek do Kisielewskiego i Jastrun jako dodatek do ks. Piwowarczyka, to był cocktail ponad moje siły.

Tyle o prasie. Innym elementem, który skupia dokoła siebie intensywne zainteresowanie szerokich rzesz, to kino i teatr. Ale o widowiskach napiszę przy innej okazji.

J. W. W.

W Niemczech zmarł na gruźlicę po 6-letnim pobycie w Stalagu w Lamsdorfie

ś. p.

KONSTANTY ILDEFONS GAŁCZYŃSKI

poeta i satyryk

Stały współpracownik „PROSTO z MOSTU" i „TĘCZY".

Autor zbioru Poezji, wierszu „Skumbrie w tomacie" i znanego wiersza szyderczego „O żabie".

Życie gospodarcze

Dekret o Warszawie

Od redakcji:

W dzienniku ustaw z dnia 21 listopada 1945 r. został ogłoszony Dekret z dnia 26 października 1945 r. o własności i użytkowaniu gruntów na obszarze m. st. Warszawy.

Celem dekretu jest stworzenie takiego stanu prawnego, aby gmina miała pełną swobodę w wykonywaniu swego planu odbudowy, względnie przebudowy stolicy.

Plan, używając modnego wyrażenia, jest gigantyczny. Przewiduje bowiem budowę osobnych dzielnic, gmachów państwowych, bankowych, uniwersyteckich, następnie zieleńców i t. p.

Dekret powyższy jest pierwszym krokiem do realizacji tego planu.

Jest rzeczą charakterystyczną, że zarówno samemu planowi odbudowy Warszawy, jak i ściśle z nim związanemu dekretowi, publiczność nasza poświęciła niezwykle mało uwagi. W ten sposób powstaje złudzenie, jakoby ogół społeczeństwa zgadzał się z postanowieniami, które w tym przedmiocie zapadają. Tymczasem rzeczywistość wygląda inaczej. Można zaryzykować twierdzenie, że wielu ludzi odnosi się negatywnie do postanowień dekretu i w ogólności do całego obecnego planu odbudowy względnie przebudowy Warszawy. Tylko niestety o tych sprawach mówi się na „ucho", nie poddając ich publicznie i rzeczowej dyskusji.

Red.

Dekret z dnia 26 października 1945 r., dotyczący wywłaszczenia właścicieli gruntów, położonych na obszarze miasta st. Warszawy, w związku z planowaną odbudową stolicy, budzi poważne zastrzeżenia natury prawnej i ekonomicznej.

Dekret ten powołuje jako podstawę prawną ustawę z dnia 3.I. 1945 r., która przelewa na Rząd Tymczasowy prawo dekretowania, udzielone Polskiemu Komitetowi Wyzwolenia Narodowego ustawą z dnia 15.VII. 1945 r.

Jako podstawowy motyw prawa dekretowania art. I ustawy z dnia 15.VIII 1944 podaje: „ze względu na warunki toczącej się wojny na ziemiach polskich i wynikających stąd utrudnień w działalności władz ustawodawczych".

Intencja ustawodawcy ogranicza zatem wyraźnie prawo dekretowania do spraw, które wymagają natychmiastowego załatwienia, inaczej mówiąc do spraw niecierpiących zwłoki. Zagadnienie odbudowy Warszawy według obecnego planu, przewidującego budowę gmachów państwowych, banków et caetera, nie jest sprawą niecierpiącą zwłoki. Sprawą niecierpiącą zwłoki jest dostarczenie w jak najkrótszym czasie jak największej ilości pomieszczeń dla bezdomnych mas warszawiaków. A załatwienie tej sprawy nie wymaga wydania omawianego dekretu.

Dekret załatwia właściwie tylko problem własności gruntów. Natomiast wszystkie inne problemy jak najbardziej istotne, są pozostawione swobodnej decyzji poszczególnych ministrów, mających delegacje wykonawcze.

Własność budynków jest w zasadzie nie zniesiona. Jednakże może być zniesiona, o ile jej utrzymanie kolidowałoby z planem odbudowy. Ponieważ plan zabudowy nie stanowi, o ile nam wiadomo, załącznika do dekretu, więc de facto o zniesieniu własności decydować będzie nie ustawa względnie dekret z mocą ustawy, tylko zwyczajnie zarządzenie władz administracyjnych. Ten stan wydaje mi się być sprzecznym z art. 99 Konstytucji z dnia 17.III. 1921 r., który wyraźnie wymaga dla ograniczenia lub znie sienia prawa własności, aktu ustawodawczego.

Tenże sam artykuł Konstytucji postanawia, że ograniczenie lub zniesienie prawa własności ma nastąpić za odszkodowaniem. Dekret mówi wprawdzie o odszkodowaniu, lecz tylko tyle, że ma ono być wypłacone w papierach miejskich. A faktycznie odszkodowanie zależeć będzie przecież od norm szacunkowych, od oprocentowania, kursu, możliwości upłynnienia owych papierów. Oczywiście, że dekret nie może zbytnio wchodzić w szczegóły, jednakże pewne zasady winny być ustalone, w przeciwnym bowiem razie odszkodowanie może stać się fikcją.

Analogicznie przedstawia się sprawa z wierzytelnościami hipotecznymi, które mają być uregulowane specjalnym rozporządzeniem.

Również brak w dekrecie jakichkolwiek wytycznych co do składu i działania komisji szacunkowych oraz komisji, przyznających prawo użytkowania. Niepokojącym jest, że niema nawet wzmianki, iż w skład tych komisji powinien wejść czynnik społeczny.

Na tle powyższego dekretu wyłania się problem sfinansowania obecnego planu odbudowy. Zasadniczo koszta odbudowy bierze na swe barki Państwo. Główne elementy tych kosztów będą 1. odszkodowanie za wywłaszczenie, 2. spłata względnie regulacja wierzytelności hipotecznych, 3. właściwe koszty odbudowy. Nasuwa się pytanie, z jakich źródeł Państwo będzie mogło pokryć te niewątpliwie bajońskie sumy. Jakiekolwiekby one były (za wyjątkiem darowizny zagranicy) zawsze oddziałają na stopę życiową ogółu społeczeństwa w kierunku sniżkowym. Czy Polska, należąca do krajów o najniższej stopie życiowej w Europie, może sobie na to pozwolić? Na to pytanie odpowie każdy, nawet nie ekonomista.

Z postanowień dekretu wynika, że ustawodawca liczy na pewną pomoc w odbudowie stolicy ze strony inicjatywy prywatnej. Należy obawiać się, że dozna przykrego rozczarowania. Prawo użytkowania jest ograniczone innym dekretem do 40 względnie 80 lat, co nie będzie oddziaływać pobudzająco na inicjatywę prywatną.

Dekret skierowywuje zagadnienie odbudowy Warszawy na fałszywą drogę.

Dekret został zatwierdzony przez Prezydium Krajowej Rady Narodowej, jednakże zgodnie z ustawą z 15.VIII. 1944 r., winien być przedłożony na plenum Krajowej Rady Narodowej, która może zwykłą większością głosów cofnąć zatwierdzenie. Miejmy nadzieję, że skorzysta z tego uprawnienia.

Odbudowa Warszawy jest możliwa przy spełnieniu następujących warunków:

1. Rezygnuje się z wielkich planów, a budownictwo państwowe ograniczy się do budynków koniecznych dla sprawnego funkcjonowania aparatu państwowego;

2. wywłaszczenie zostanie przeprowadzone zgodnie z art. 99 Konstytucji z 17.III. 1921 r. w rozmiarach najkonieczniejszych (np. regulacja ulic);

3. zostaną uruchomione w odpowiednich warunkach kredyty tak dla instytucji publicznych, jak i osób prywatnych;

4. zapewni się przywileje podatkowe dla nowych budynków;

5. przeprowadzi się odpowiednią propagandę zagranicą, zapewniając równocześnie transfer dla spłat kapitałowych i odsetek od pożyczek zagranicznych.

Ramy artykułu nie pozwalają na szczegółowe rozwinięcie powyższego stanowiska. W każdym razie mottem każdej akcji winno być „mierzyć zamiary według sił". Odwracanie tego hasła kosztowało już Polskę wiele, nie tylko na odcinku gospodarczym.

K. P.

Nacjonalizacja we Francji w oczach kapitalistów

Tygodnik l'Ekonomie reprezentujący francuskie sfery kapitalistyczne, omawia zagadnienie nacjonalizacji w ogóle z uwzględnieniem szczególnych warunków francuskich. W myśl zasady audiatur et altera pars podajemy w streszczeniu poniższe wywody.

Dojście do władzy większości socjalistycznych wzgl. socjalistyczno - komunistycznych, doprowadziło do tego, że problem upaństwowienia stał się aktualnym. Przekazanie Państwu bogactw naturalnych kraju oraz przemysłu kluczowego w oczach tych grup ma stanowić podstawę „reform strukturalnych", za pomocą których chcą one nadać nowej ekonomice specjalne oblicze.

Idea nie jest nowa. Jest ona od przeszło trzech czwartych wieku częścią nieodłączną programu marksistowskiego, który nie przestaje prawić kazania na temat „socjalizacji środków produkcji", jak mówiono swego czasu. Jeśli jednak doktryna pozostała niewzruszona, to jednak ekonomia uległa „zmianom strukturalnym". Kiedy Karol Marks zapowiadał koncentrację własności w rękach coraz mniejszej ilości jednostek, to jednak od tego czasu byliśmy świadkami zjawiska odwrotnego na skutek rozwoju spółek akcyjnych, a mianowicie — wzrastającego rozdrobnienia własności. W ten sposób przekazanie własności Państwu, z wyjątkiem pewnych wypadków specjalnych, przestaje być wywłaszczeniem kilku uprzywilejowanych, lecz odwrotnie — środkiem, który uderza w tłum oszczędzających (ciułaczy).

Jeżeli miała miejsce koncentracja, to nie była to koncentracja bogactw, lecz koncentracja władzy i odpowiedzialności w rękach niektórych kierowników przemysłu i finansów. Konieczność koordynacji działalności różnych przedsiębiorstw tego samego przemysłu lub zgrupowania przemysłów uzupełniających, doprowadziło do fuzji, porozumień i tzw. związków, które siłą rzeczy musiały zwiększyć władzę niektórych kierowników przemysłu, podporządkowując im innych. Ta właśnie forma organizacyjna tak chętnie w polemice jest nazywana „trustami", ,kartelami" i t. d.

Że te organizacje częstokroć zajmowały się zbyt wyłącznie swymi własnymi interesami z pominięciem interesu ogólnego, że częstokroć nadużywały swe władzy dla oddziaływania na czynnikach oficjalnych celem osiągnięcia z tego tytułu zysków lub sparaliżowania ich kontroli — to nie ulega wątpliwości. To też jest rzeczą naturalną, że kraj myśli o reformach, któreby uniemożliwiały kontynuowanie tego rodzaju nadużyć.

Upaństwowienie wydaje się wielu, jako jedyny lub najlepszy środek dla osiągnięcia tego celu. Jest to jednak idea bardzo wątpliwa, gdyż jest to problem raczej władzy niż problem własności. Dowodem tego jest fakt, że jednym z najbardziej uzasadnionych i najczęściej wysuwanym argumentem przeciwko „trustom" jest argument, że to kierownicy „trustów" wymyślili sprytne sposoby dla zapewnienia sobie w walnych zgromadzeniach większości nieproporcjonalnej do zaangażowanych własnych kapitałów. Łatwo po tym poznać, że kapitały te zostały dostarczone przez rzesze akcjonariuszów i właścicieli obligacji, którzy nie biorą udziału w administracji i którzy zresztą przeważnie tymi sprawami się nie interesują.

Należy jednak podkreślić, że koncentracja przemysłowa w tym pojęciu, była zjawiskiem ogólnym, spowodowana wyższymi względami konieczności w wielkim przemyśle. Przeto więc nie sama koncentracja ta zasługuje na potępienie —koncentracja, którą chcą zrealizować grupy, dążące do upaństwowienia, byłaby o wiele dalej posunięta niż wszelki trust prywatny — lecz nadużywanie władzy, które częstokroć towarzyszy koncentracji. Bo czyż przekazanie własności przedsiębiorstw zapobiegnie temu? Należy raczej mniemać, że bardziej rygorystyczna kontrola Państwa osiągnęłaby ten cel znacznie lepiej.

Jedną z głównych ról Państwa, jest kontrola nad działalnością prywatną celem podporządkowania tej działalności interesom ogólnym. Przykłady jednakże wskazują, że ta funkcja Państwa jest tym lepiej wykonywana, czym mniej Państwo wykracza poza własne atrybucje i że autorytet Państwa nic nie zyskuje przy wkraczaniu do dziedzin, gdzie uzdolnienia szczególne i inicjatywa prywatna są podstawowymi czynnikami. We Francji było to jedną z przyczyn osłabienia Państwa.

Zdawałoby się, że charakter demokratyczny, który się stara nadać polityce upaństwowienia, powinien się sprzeciwiać wszelkiej formule, któraby mogła doprowadzić do uszczuplenia praw niezliczonej rzeszy akcjonariuszów, reprezentujących najbardziej demokratyczną oszczędność francuską. Np. we Francji oblicza się na milion liczbę akcjonariuszów w przemyśle węglowym. W końcu 1944 r. Bank Francuski posiadał 46.485 akcjonariuszów, z których 40.000 posiadało od 1 do 5 akcji.

Program lewicy, która przynajmniej teoretycznie wyraża opinię większości parlamentarnej, przewiduje odszkodowania w postaci renty na pewien obliczony okres czasu. Byłoby to zwykłą konfiskatą posiadanego kapitału, którego wartość nie jest w żadnym stałym stosunku do dochodu i może być znacznie większą od zamierzonej kapitalizacji.

O sposobie przyjęcia przez opinię publiczną tego rodzaju zamierzeń, najlepiej dowodzi reakcja giełdy francuskiej, która odpowiedziała baissą w stosunku do akcji przedsiębiorstw, podlegających upaństwowieniu, a haussą wobec akcji przedsiębiorstw, pozostających w posiadaniu prywatnym.

I tak np. w gałęziach przemysłu, podlegającego upaństwowieniu spadek na giełdzie przedstawia się następująco:

akcje bankowe, które były notowane w dn. 29.12. 1944 — 392 spadły w dniu 9.11. 1945 do 285 czyli o 27,3%, akcje tow. ubezp. z 304 na 199, t.j. o 34,5%, akcje przemysłu węglowego o 41,1% i t. d.

W gałęziach przemysłu, nie podlegających upaństwowieniu, zwyżka miała zasięg następujący:

akcje przemysłu samochodowego w tych samych terminach podniosły się z 735 na 811 czyli 10,3%, akcje przemysłu włókienniczego z 1263 na 1948, t. j. o 54,2%, akcje przemysłu spożywczego z 812 na 982, t. j. o 20,9% i t. p.

Następnie nasuwa się pytanie, jaki zysk osiągnie Państwo z przeprowadzenia upaństwowienia niektórych gałęzi przemysłu? Nikt tego narazie przewidzieć nie może. Jednakże nie można nieodczuwać pewnego niepokoju, gdy Państwo raczej dla zaspokojenia pewnych doktryn ideologicznych, niż z chęci polepszenia dochodowości przedsiębiorstw, dąży do zawładnięcia tymi przedsiębiorstwami, wcale nie będąc do tego przygotowane i wyrzekając się doświadczenia obecnych kierowników tych przedsiębiorstw. Należy przeto obawiać się, aby w ten sposób pojęte „reformy strukturalne", nie doprowadziły do pewnego nieporozumienia, którego koszty w rezultacie musiałby pokryć kraj.

k.

K. I. Gałczyński

Pieśń Cherubińska

Rankiem z domu wychodzimy.
Wrogowie cudów —
Każdy w swoją stronę...
A dopiero wieczorem
Leży przed nami plon trudu
Jak skrzypce — świeżo skończone.
Żona kwiat stawia na oknie,
Drzewo w kominie bzyka,
Na ręce złocone ogniem
Płyine muzyka.
Siłą czerpaną z ognia
Mężnieją uparte plecy.
Jak wódz na zdobycie fortecy
Idziemy codnia.
I nieraz trafi nas ostrze,
Bijących w prawo i w lewo,
By były rzeczy najprostsze:
Mięso, chleb, drzewo.

Wolno dojrzewa człowiek. Wiele mu trzeba męstwa,
Aby się nie dać wiatrowi i rosnąć wgórę i wgłąb,
By triumfalną zielenią zaszumieć w końcu jak dąb
Zwycięstwa...
To przecież nie jest znużenie. To obłok wiosenny, gruby,
Który nadpłynął z łąk i oczy zasnuł i zgasł...
Ach, nie utrzymać tych rąk! Do nowych śmieją się prac
Mocne cheruby.

Kiedyś nadejdzie jesień. Świat nam się mniejszy ukaże,
A zato dzieła wyrosną i usną jak olbrzymy.
Pójdziemy wtedy za miasto i zdala popatrzymy
Na dni nie zmarnowane i noce wolne od marzeń.

Tylko trzeba się przemóc. Musimy. Jeszcze prędzej!
Skrzydlate są nasze konie i żłoby złote i obrok.
Ty słyszysz? Muzyka idzie: To w nas tak dźwięczy i dźwięczy
potężna dobroć.

Naszym żonom daj oczy szafirowe,
Niech mają srebrne palce i suknie hjacyntowe.
Naszym dzieciom pokarmy pożywne,
Żeby rosły i były proste, a nie dziwne.
O kominie także nie zapomnij, Panie:
Niech jada swą brzezinę na drugie śniadanie.
I o kota naszego zatroskaj się ładnie:
Żeby mu ciepło było, kiedy śnieg upadnie.
Wróć zdrowie obłąkanym, kraj wybaw od wojny,
Daj chwilę odpocznienia wszystkim niespokojnym.

Koniec modlitwy. Teraz grzmi.
A echo odpowiada mi
I w mazowieckich ostach
I w błotach Pińska...
Słyszysz, jak grzmi?
Moja codzienna, moja uparta, moja prosta
Pieśń cherubińska.

Szeroki horyzont

Dobre rady panny Urszuli

Wpadł nam w ręce nowy numer gazety „Berliner Zeitung", na łamach której Fraulein Ursula Lampe daje dobre rady swym rodaczkom. Odradza im ona mianowicie poślubianie żołnierzy amerykańskich, twierdząc, że „...w obecnych warunkach wykluczone jest szczęście małżeństwa mieszanego".

Zaciekawieni czytamy dalej i dowiadujemy się, że „...jeżeli Niemka wyjedzie ze swym amerykańskim mężem do Stanów Zjednoczonych, narazi się tam na poważne przykrości. Amerykanie bowiem, jak i reszta świata, utożsamiają pojęcie Niemca i hitlerowca".

Geehrtes Fraulein Lampe! Coprawda nie mieliśmy nigdy żadnych złudzeń, co do tego, że do NSDAP należeli wyłącznie Annamici, Baskowie, Hotentoci i Lapończycy, a w żadnym wypadku nie Niemcy, ale jednak chcielibyśmy opowiedzieć Pani pewną historyjkę a propos. Jest ona rodem z innej półkuli, ale bardzo na czasie. Otóż od niedawna amerykańskie dowództwo wojsk lotniczych w Chinach zwróciło uwagę na pewne niezwykłe zjawisko. Podczas przewożenia chińskiej piechoty amerykańskimi samolotami transportowymi, zanotowano niezmiernie dużo nieszczęśliwych wypadków przy wsiadaniu żołnierzy do maszyn. Katastrofy podczas przelotów — to byłoby ostatecznie zrozumiałe. Kraksy przy lądowaniu — to zdarza się dość często. Ale przy wsiadaniu?

Dopiero przy dokładnym badaniu stwierdzono rzeczywisty powód tej serii wypadków. Poprostu Chińczycy są bardzo zabobonni, chcieli więc wykorzystać nadarzającą się wspaniałą okazję do pozbycia się swego cienia, który według ich wierzeń, jest złym duchem, nieodstępującym nawet na krok swego „właściciela". Chińska recepta z XX wieku na pozbycie się własnego cienia, jest niezbyt skomplikowana. Bierze się mianowicie amerykański transportowiec czteromotorowy, czeka z chińskąc ierpliwością, aż jego obsługa wprawi przed startem w ruch jego stalowe śmigła, i wtedy podchodzi się pod nie tak blisko, by rozpędzone śmigło odcięło cień — złego ducha od prześladowanego przezeń człowieka. Pomysł jest, jak widzimy, zupełnie niezły, praktyka jednak wskazuje, że kuracja ta jest nieco utrudniona, ponieważ częstokroć śmigłc niedocenia swych medycznych zadań należycie, likwidując za jednym zamachem i cień i jego właściciela, który podszedł za blisko.

Nawiązując do tego, panno Lampe, każdy Niemiec ma również takiego złego ducha, którego obecnie chciałby się może nie tyle pozbyć (a nuż jeszcze się przyda?), ile przechować do lepszych czasów. A tymczasem świat — a przynajmniej ci wszyscy, którzy przez ostatnie lata mieli oczy i uszy otwarte — uważa, że nie da się tak łatwo wyskrobać złego ducha z pani współrodaków. Nie chcemy jednak pani zniechęcać. Niech pani dalej odradza swym rodaczkom popełnianie Rassenschande, pardon — chcieliśmy powiedzieć — „bratania się" z Amerykanami. Bowiem my, Polacy, żywimy, wielką sympatię dla Stanów Zjednoczonych, — ale nie zjednoczonych z Niemcami.

Księżyc nad Tahiti

Nie, nie, drodzy czytelnicy, to nie będzie nic o Ramonie Novarro, ani też o gitarach hawajskich. Chcielibyśmy tylko, w ten podstępny sposób, zaaplikować wam nową dawkę wiadomości z frontu bomby atomowej. Obawiamy się jednak, że gdybyśmy zaznaczyli to wyraźnie w tytule tej wzmianki, napewno cisnęlibyście oburzeni nasze pismo, nie wracając już do niego ani dziś, ani jutro. Niemniej jednak, nie wprowadzamy was znowu tak bardzo w błąd. Chcielibyśmy wam tylko powiedzieć, że pan Maurice Dekobra, znany powieściopisarz francuski, przebywający obecnie w Hollywood, sporządzonym niedawno testamentem, zapisał cały swój drogocenny księgozbiór bibliotece miejskiej dla tubylców w mieście Papetee, na wyspie Tahiti. Ta jego ostatnia (czyżby?) wola, spowodowana została głębokim przekonaniem, że wynalezienie bomby atomowej jest zapowiedzią końca cywilizacji. Maurice Dekobra jest przeświadczony, że Europa i Ameryka zostaną zupełnie zniszczone następną zawieruchą wojenną, a tym samym jego książki mają szanse przetrwania tylko na którejś z wysp Mórz Południowych, która prawdopodobnie nie znajdzie się w ogniu działań. Ciekawe, jaki też będzie wpływ dzieł z biblioteki powieściopisarza na pierwotnych ludzi z Tahiti. Kto wie, czy niektóre utwory współczesnych pisarzy, nie zmienią zupełnie światopoglądu tych szczęśliwych natur, wywołując w skali lokalnej, skutki, nieodbiegające od działania małego bombardowania. W każdym razie, nasza wiedza o zastosowaniu energii atomowej, została znacznie zwiększona. Wiemy już, że ma ona trojakie możliwości użycia: jako straszliwa broń — w wojnie, jako potężne źródło siły — w epoce pokoju, oraz jako wspaniała reklama — w Hollywood.

Piszcie listy, żołnierze

I znowu, jak przed jakimś czasem, chcielibyśmy udostępnić naszym czytelnikom pewien charakterystyczny list, jaki został nadesłany przez amerykańskiego żołnierza z garnizonu okupacyjnego w Niemczech, do redakcji tygodnika „Yank' Jeden z takich listów już opublikowaliśmy, ale ten, z najnowszego numeru, również z rozmaitych powodów zasługuje na zacytowanie w czasie, kiedy słyszy się głosy rozmaitych „humanitarystów", łatwo zapominających o tym co było, a także nie myślący o tym co będzie, jeżeli świat powtórzy błędy z przed ćwierćwiecza.

A oto ten list: „Drogi „Yank!" Zbyt wielu żołnierzy uważa, że uda im się wytłumaczyć Niemcom znaczenie Czterech Wolności i prawdziwą wartość demokratycznego sposobu życia. Ale nie zdają sobie oni sprawy z tego, że Niemcy przeważnie mają pewną linię propagandową, której konsekwentnie przestrzegają. W czym streszcza się ta linia? Naród niemiecki nie jest odpowiedzialny za hitleryzm ani za wojnę. Owszem, początkowo popieraliśmy Hitlera, ale kiedy zdaliśmy sobie sprawę z naszego błędu, było już zapóźno. Nie wiedzieliśmy niczego o okropnościach Buchenwaldu i Dachau. Dość już wycierpieliśmy się. Nie bądźcie dla nas zbyt srodzy".

...Pijesz ich wino, próbujesz mieć do nich kazanie o demokratycznych zasadach, a oni ciągle nawracają do ich tematu — prośby o wyrozumiałość. Są bardzo urażeni, kiedy ty nie znajdujesz w sobie współczucia dla nich. Ale wypij jeszcze trochę więcej ich wina, a będziesz uważał to za trochę niegrzeczne, że wypadło by ci powiedzieć twemu gospodarzowi, że i on ponosi odpowiedzialność za obecne miejsce Niemiec w świecie.

Musimy pamiętać o jednej rzeczy. Niemiec posiada bystry umysł, a teraz właśnie zaczyna wydobywać z otumanienia, w którym pozostawał od miesięcy. Naloty się skończyły, wojska okupacyjne mają stałe kwatery. Obecnie chciałby, by ta okupacja była dlań najznośniejsza. Nie stara się pomóc nam w oczyszczeniu Niemiec od hitlerowców i zbrodniarzy wojennych. Nie, do diabła! — gdyż to by było aktem zdrady wobec Vaterlandu Ci Niemcy, którzy nam pomagają, są tymi, którzy cierpieli fizycznie, którzy przebywali w obozach koncentracyjnych. Inni, którym zostało to oszczędzone, nie chcą podnieść głosu przeciwko dawnym władcom.

Niemcy opowiedzą ci — kiedy sączysz ich wino mozelskie lub wspaniałego szampana — jak strasznymi byli hitlerowcy, jak nikt nie mógł pracować, jeżeli nie szedł z nimi, jak gestapo było wszędzie, jak Wehrmacht był armią ludu i nikomu nie wyrządzał żadnej szkody. To wszystko było winą Hitlera, Himmlera i SS. I ty słyszysz to od większości Niemców. Nikt nie był hitlerowcem, nikt nie gnębił ani głodził cudzoziemskich robotników czy też Żydów. Każdy, kto cokolwiek zawinił, już dawno uciekł — tak to oni opowiadają.

Twoje kazania o demokracji trafią na zamknięte uszy. Hitlera nie ma, ale Niemcy wierzą we wszystkie kłamstwa i oszczerstwa o Untermenschen — Rosjanach. Poparli Hitlera w 1933 roku, przeciwko fałszywemu straszakowi — komunizmowi w swym własnym kraju, a teraz wierzą nadal propagandzie Goebbelsa i spółki, która urabiała ich od lat. Oni by chcieli by Amerykanie stworzyli im łatwe warunki okupacji i osłaniali ich przed tymi Untermenschen, podczas kiedy odbudowywać będą w bezpieczeństwie swój kraj. Demokracja zupełnie ich nie obchodzi, Są absolutnie niezdolni do pojęcia zasady moralnej i politycznej odpowiedzialności, do zrozumienia zasadniczych tez demokratycznego życia. Zawsze przekręcą swoją dyskusję o demokracji na ich własne żebranie o łaskę, ponieważ chcą zaszczepić w twoim umyśle niechęć do Rosji.

Bratanie się z Niemcami daje im sposobność jakiej szukali. Nie myśl, że nauczysz pojedyńczego Niemca demokracji. Gdyby jej rzeczywiście chciał, nauczył by się jej sam. Zna jej zasady, ponieważ miał okazję do nauczenia się ich po przedostatniej wojnie. On uznaje i rozumie tylko siłę i władzę. Weź go pod swoje kierownictwo, a będzie posłusznym Niemcem. A brataj się z nim — to już wkrótce zobaczysz, jak naprawdę chce być z nami zaprzyjaźniony.

Jest bowiem o wiele zawcześnie, by próbować w grze szczęścia z Niemcami".

Na tym kończy się list amerykańskiego żołnierza, który zgłębił cały problem, dochodząc do jego istoty: Niemcy dalej pozostają źródłem infekcji w organiźmie Europy, szczując Zachód przeciw Wschodowi i licząc ciągle jeszcze na to, że będą tym przysłowiowym trzecim, który korzysta przy nieporozumieniu. Najwyższy czas, by użyć ich masowo do odbudowy zniszczonych przez „armię ludu — Wehrmacht" olbrzymich połaci Polski, Ukrainy. Białorusi i innych ziem, przez które przeszła plaga „niewinnych Niemców", których nic, ale to zupełnie nic nie łączyło z Hitlerem, Himmlerem lub SS.

Piszcie listy, żołnierze! Może znajdą więcej posłuchu u Wuja Sama, niż suche opisy prawdziwego oblicza narodu niemieckiego, jakie my wytworzyliśmy sobie na podstawie własnych doświadczeń i które staramy się przedstawić Waszym rodakom.

Rozrywki umysłowe

Trudno, muszę wam to opowiedzieć. Coprawda, nie będzie to rozszerzanie horyzontu, ale może rzuci światło na pewną sprawę.

Chodzi mi mianowicie o to, że mam wielką sympatię do Anglików. Poprostu bardzo Ich lubię. Jest to może zresztą miłość bez wzajemności, co kładę na karb trudności w porozumieniu się z nimi, gdyż ilekroć nawiązuję z Anglikiem rozmowę w jego własnym języku, wzrusza ramionami, oświadczając mi, że nie zna włoskiego. Ale to nic — lubię ich nadal.

Podczas wojny byłem fanatycznym słuchaczem londyńskiego radia, co jak powszechnie wiadomo, było przez Niemców bardzo źle widziane. Obecnie uczęszczam na wystawę R.A.F"u w Warszawie. W dowód sympatii dla nich, nosiłbym również ubranie z angielskiego materiału. Że jednak nie zajmuję się ani szabrem, ani handlem walutami, więc chcąc niechcąc, noszę niemiecki produkt, sporządzony ze wszystkich możliwych odpadków trzeciej rzeszy. Są jednak takie wydarzenia, lub lepiej mówiąc epizody, które wyprowadzają mnie z równowagi, osłabiając ma sympatię do tych wyspiarzy.

Oto jeden z nich. Londyński tygodnik „Leader Magazins" zabawia swoich czytelników łamigłówkami. Trzeba mianowicie odpowiedzieć na zadane pytania. Spróbujmy, może nam się uda.

1) Który marszałek polny opuścił ostatnio Anglię, udając się w podróż dookoła świata, na trasie 33 tys. mil?

2) Kto jest prymasem Anglii — Arcybiskup Yorku, Arcybiskup Canterbury, czy też biskup Londynu?

3) Przed wojną Gdańsk był wolnym miastem. Czy teraz jest kontrolowany przez a) Rosję? b) Polskę? c) Narody Zjednoczone? d) czy też może pozostał wolnym miastem?

Odpowiadamy w ten sposób. 1) Był to Marszałek polny Lord Alanbrooke, szef Imperialnego Sztabu Generalnego. 2) Prymasem jest Arcybiskup Yorku. Arcybiskup Canterbury nosi tytuł „Prymasa Wszech-Anglii" (Primate of All-England). Natomiast na trzecie pytanie odpowiedź będzie trochę skomplikowana. Wejdźmy w położenie czytelnika „Leader Magazins" i rozważmy ten problem, z brytyjską systematyką, spokojem oraz trzeźwością. Jeżeli mianowicie, zastanowimy się, co było bezpośrednim powodem ostatniej wojny, to są tu zawsze dwie możliwości — albo był nim Gdańsk, albo też nie? Jeżeli ustaliliśmy już, że był nim Gdańsk, to istnieją jeszcze dwie możliwości — albo Polska walczyła przeciw Wielkiej Brytanii, albo też w przymierzu z nią? Jeżeli stwierdzimy, że w przymierzu z nią, to są jeszcze dwie możliwości — albo Niemcy wygrały tę wojnę, albo też ją przegrały. Jeżeli dojdziemy do wniosku, że ją przegrały — to są tu jeszcze dwie możliwości — albo czytelnicy „Leader Magazine" są ludźmi inteligentnymi, albo też nimi nie są. Ponieważ przypuszczamy, że zachodzi ta pierwsza ewentualność, to istnieje jeszcze tylko jedna możliwość — „...miasto Gdańsk, niegdyś nasze", musi być znowu nasze.

Nie pozostaje nam obecnie nic innego, jak wprowadzić również dział łamigłówek w naszym piśmie. Oto pierwsza:

Czy miasto Manchester kontrolowane jest obecnie przez a) Honduras? b) Estońską Republikę Radziecką? c) Związek Samorządu Terytorialnego w Tomaszowie Lubelskim? d) czy też może został zachowany status quo ante?

Dla ułatwienia podajemy, że przed wojną miasto Manchester należało do Wielkiej Brytanii.

Wilk.

OD ADMINISTRACJI.

Począwszy od 5 n-ru cena pojedyńczego egzemplarza naszego Tygodnika wynosić będzie zł. 7.—. Prenumerata miesięczna zł. 30.—, kwartalna 85.—. Prenumeratę prosimy wpłacać na adres Administracji Marszałkowska 81. m 18, w Krakowie, ul. Kurkowa 5 m. 4.

Redaguje: Kolegium redakcyjne. Redaktor naczelny: Witold Bieńkowski. Kierownik Oddziału Krakowskiego: Wojciech Kętrzyński. Wydawca: Kolegium redakcyjne.
Adres redakcji i administracji: Marszałkowska 81 m. 17. Redaktor przyjmuje codziennie od godziny 11 do 12.
Adres Oddziału Krakowskiego: Kurkowa 5 m. 4. Redaktor przyjmuje w poniedziałki, środy i piątki od godziny 13 do 14.
Prenumerata miesięczna 21 złotych. Kwartalna 60 złotych.
Złożono w Zakł. Graf. „Dźwignia" W[illegible]